

ODGŁOSY

ROK XX NR 41 (1035)
9 PAŹDZIERNIKA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



Andrzej Makowiecki

BYŁEM STEWARDEM



Na pokładzie statku m.s. GĄLCZYŃSKI odbyłem podróż okrężną do Ameryki Południowej. Jakkolwiek mój redakcyjny szef, nie uznaje żadnych aluzji rodzinnych, zmuszony jestem napomknąć, że włóczędze po morzach i oceanach świata towarzyszyła mi żona. To ona robiła zdjęcia do moich reportaży; była moim okiem i uchem, busołą, doradcą i współtragarzem. Niby taka rozsądna, a przecież... Kiedyś mieli już za sobą cuda Argentyny i statek po minięciu Montevideo zawinął do brazylijskiego portu Rio Grande, przystała na mój wariacki pomysł, aby opuścić na wiele dni wygodną kabinę i w trudzie, znoju, niepokoju, bez pewności czy będzie gdzie przytulić głowę (i czy starczy pieniędzy) przebrnęła ze mną cztery tysiące kilometrów lądem, nękana złowieszczą myślą, że nie uda się nam dogonić GĄLCZYŃSKIEGO w Salvadorze i bezpiecznie wrócić do kraju.

Rejs zaczął się dla nas pechowo. Tuż przed odjazdem zakomunikowano nam w Gdyni, iż nasza trasa została zubożona o Hamburg i Rio de Janeiro. W Rotterdamie, dokąd popłynęliśmy przez Kanał Kiloński, postawili nas na odległej kei – piętnaście kilometrów od miasta, półtorej godziny marszu do metra.

str. 8

WOJCIECH ADAMIECKI

pasje dnia powszedniego

str. 6-7



RANGA KULTURY

Rozmowa z WOJCIECHEM EKIERTEM
dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi

str. 3

JERZY WILMAŃSKI

spotkanie z Majakowskim

str. 5



Jerzy Urbankiewicz

METKA DO SYGNETU

str. 7

Henryk Czarnecki

PŁASZCZ

str. 4

LÓDZKA SPECJALNOŚĆ: APARATY ELEKTRYCZNE

Przez kilka wrześniowych dni nad głównym wejściem do zakładu „EMA-ELESTER” powiewały flagi 22 państw z Europy, Azji, Ameryki i Australii. Wybitni specjaliści — uczeni z całego świata przyjechali do Łodzi na sympozjum naukowe.

Temat obrad (elektryczny luk łączeniowy) choć wysoce specjalistyczny, wart jest przybliżenia Czytelnikowi ze względu na jego ogromne znaczenie dla rozwoju współczesnej elektroenergetyki.

Przez kilka wrześniowych dni nad głównym wejściem do zakładu „EMA-ELESTER” powiewały flagi 22 państw z Europy, Azji, Ameryki i Australii. Wybitni specjaliści — uczeni z całego świata przyjechali do Łodzi na sympozjum naukowe.

Wydawca, że się mogło, że czło-wiek całkowicie ujarzmił już ener-gię elektryczną. Bezpieczne i sprawne jej przekazywanie nie powinno być problemem dla na-

uki. Prawdopodobnie tak by się stało, gdyby nie dwa czynniki: dynami-zny wzrost ilości produkowa-nego energii oraz dążenie do maksymalnego ograniczenia strat, co wyma-ga stałego doskonalenia urzą-dzeń.

Obecnie świat wytwarza ponad dwa razy więcej energii niż dziesięć lat temu. W ciągu najbliż-szego dziesięciolecia, a może i wcześniej, ilość produkowanej e-nergii znowu się podwoi. Wzrastają moce elektrowni, wznoszą (nawet do tysiąca kilometrów odległości, na jakie doprowadzany jest z nich prąd. Musi więc rosnąć napięcie, które obecnie sięga setek tysięcy voltów. Nie nie wskazuje na to, aby w niedalekiej przyszłości ten obserwowany od wielu lat rozwój uległ zahamowaniu. Wynika-jąca stąd nowa zadania dla nauki, która musi wypracować postę-p konstruktacyjny i technologiczny.

Do tej dalszego rozwoju przy-czyniło się także łódzkie spotkanie ponad stu pięćdziesięciu uczonych z czterech kontynentów. Na trzy-dniowe obrady przybyli wybitni

specjaliści z siedmiu państw so-cjalistycznych i piętnastu zachod-nich. Byli wśród nich naukowcy z przodujących w świecie wyższych uczelni oraz ośrodków badawczych wielkich firm przemysłowych ta-kich, jak General Electric (USA), Siemens (RFN), Brown Boveri (Szwajcaria), Sacc (Włochy) czy Hazemeyer (Holandia).

„Przyjazd do Łodzi znakomitych uczonych sprawia ogromną satys-fakcję mieszkańcom i władzom miasta” — stwierdziła, podczas u-roczystości otwarcia sympozjum se-kretarz KL PZPR tow. Genowefa Adamczewska. Nie bez powodu właśnie Łódź była miejscem obrad. W naszym mieście istnieje silny o-środek naukowy i przemysłowy w dziedzinie aparatów elektrycznych. Na całym świecie znane i cenio-ne są prace łódzkich uczonych, pracujących pod kierunkiem prof. zw. STANISŁAWA DZIERŻBIC-KIEGO dawniej w Katedrze Aparat-ów Elektrycznych Politechniki Łódzkiej, a obecnie w Zespole Aparatów Zestykowych Instytutu Transformatorów Maszyn i Aparat-ów Elektrycznych PŁ. Cenne dla przemysłu opracowania naukowe powstają w Ośrodku Rozwojowym Aparatury Manewrowej „ORAM”. Zarówno Politechnika, jak i ORAM ściśle współpracują z zakładami „EMA-ELESTER” — krajowym po-entatem w produkcji aparatów e-lektrycznych oraz „MEGAF-ELSTA” — przedsiębiorstwem produkują-cym m. in. aparaty trakcyjne.

Ważniejsze sympozjum na temat elektrycznego luku łączeniowego było już trzecią międzynarodową

konferencją poświęconą tej tema-tyce. Poprzednie odbyły się rów-nież w Łodzi w latach 1970 i 1973. O wzrastającym zainteresowaniu łódzkimi spotkaniami uczonych świadczą stały wzrost zarówno liczby uczestników, jak też ilości zglaszanych referatów. W bieżą-cym roku do organizatorów sym-pozjum wpłynęły 83 referaty re-prezentujące wysoki poziom naukowy. Zostały one opublikowane w formie książkowej i przed rozpo-częciem konferencji wysłane do u-czestników.

Odstąpienie od formy referowa-nia prac umożliwiło uczonym skoncentrowanie się na przedysku-towaniu problemów kontrowersyj-nych. Jak stwierdził prof. St. Dzierżbicki, dyskusja była ze wrzech miar owocna i pozytywna. Omówiono bardzo wiele zagad-nień szczegółowych w niektórych dziedzinach uzgodniono kierunki dalszych poszukiwań. Wielu uczo-nych, po dyskusji, zweryfikowało własne poglądy. Stworzenie waru-ków umożliwiających twórcom, czasem nawet ostrą polemikę nau-kową jest dużym sukcesem orga-nizatorów sympozjum: Instytutu Transformatorów, Maszyn i Aparat-ów Elektrycznych PŁ, Łódzkiego oddziału SEP oraz „ELTY” i „ELESTERU” doskonale rozumie-jącego rolę gospodarza tak wiel-kiej konferencji.

Uczestnicy sympozjum zgodnie ustalili, że za cztery lata ponow-nie spotkają się w Łodzi.

PAWEŁ PATORA

PROBLEMY

KARIERA SREBRA

„Ci „dolarowi” turyści interesują się w Łodzi głównie, jeśli nie wyłącznie, sklepami „Jubilera”. Kupują wszystko co jest z polskiego srebra. Nie interesują się wyrobami ze złota. Zawieszili oko na naszym rodzimym srebrze. Skąd te ciągoty? Z wyrachowania. Z kalkulacji. „Dolarowcy” z Zachodu liczyć to już potrafią niezłe. Turystyka, a interes interesem. Bądźmy spokojni, głowy to oni mają też nie od parady. Nie jest im obce co w trawie piszczy.

Jest oczywiście, że cenę na złoto wywindowano do nieby-walego poziomu. To dzieło profesjonalnych geszeczeliarzy rozsianych gestą mafijną siatk-ku po wszystkich metropoliach zachodniego świata. Cena na złoto poszła też niebawem w górę i z tego jeszcze powodu, że inflacja szaleje. Wartość papierowych pieniędzy wszę-dzie leci na lew na szyję. Zaufanie do „drukowanej” go-

łówny więc spada. Jeśli już ktoś ma ileś tam tyśniętek w nadmiarze, lokuje to w zło-cie.

Od pewnego czasu lokuje też w srebrze, a tego jeszcze nigdy na Zachodzie nie było.

Ta wliczeniowa uncja złota waży w przybliżeniu 31 gra-mów. Za uncję złota płaci się dziś na giełdach Londynu, Zu-rychu i Paryża od 144 do 148 dol. A jeszcze w tyśnię dzię-więćset siedemdziesiątym roku płacono za uncję trzydziści sześć dolarów. Spekulacja robi swoje. Z drugiej jednak strony „i na złocie straci, kto je prze-płaci”. Inna sprawa, że popyt na złoto wzrasta. Głównie w przemyśle. Złoto znalazło za-stosowanie w elektronice. W najwyższej klasy aparatach obwody drukowane są ze złota, przekładniki są złote, wzmac-niacze w komunikacyjnych satelitach też są częściowo wy-konane w złocie. Nawet w produkcji podwodnych kabli

coraz chętniej sięga się po zło-to. Złoto stało się surowcem technologicznym. Toteż popyt na złoto wzrósł niepomiernie. To zaś nie mogło nie wywrzeć wpływu na kształtowanie się cen.

Kilka może danych. Na szeroko pojęty rynek zachodniego świata weszło w ubr. 1350 ton złota. Prawie 930 t przerobił jubilerzy, 70 ton dentyści, na całą resztę zgłosił zapotrzebowanie przemysł e-lektroniczny. Głównym dostawcą „zachodniego” złota jest wciąż Afrika Południowa. To tutaj trzy tysiące metrów pod ziemią kopie złoto w niewyo-brażalnie trudnych warunkach trzysta tysięcy ludzi. To czar-ni. Pod białym nadzorem. Tych kopalni nikt nie unowocześnia. Są takie, jakimi były w ubieg-łym wieku.

Od paru już ładnych lat przemysł skupił uwagę także na srebrze.

Według danych opublikowa-nych ostatnio przez Amerykań-skie Biuro Statystyki, zaledwie 13 proc. wydobywanego srebra przerabia się w warsztatach jubilerskich. Srebro trafia

dziś przede wszystkim do che-mii, elektroniki, do przemysłu filmowego. Przemysł zachod-niego świata poszukuje corocz-nie trzystu tysięcy ton srebra. To zapotrzebowanie może być pokryte bieżącym wydo-byciem srebra tylko w 60 proc.

Wykonila się zatem ogromna luka między popytem na srebro a podażą. Te lukę wypełnia się po części tak zwany „hinduski trikitem”. W Indiach są już te obyczaje, że tradycje, które trwają od ty-sięcy lat. Człowiek może być nagły, może nie mieć gdzie gło-wy skłonić, może chodzić o pustym żołądku, ale człowiek przestaje być człowiekiem, gdy nie ma srebrnych ozdób na sobie. Srebro na szyi, na nogach, na rękach. Bez srebra człowiek traci twarz. Staje się absolutnym niczym.

Te kolosalne zapasy w srebr-ze są obecnie przez Indie stopniowo upłyniniane. Przy-puszcz się, że tylko w zeszłym roku przedostało się z Indii na Zachód tyśnię siedemset ton srebra. Ale jest coraz trudniej. Stare zapasy z wola się wy-czerpują. Nowych kopalni się

nie otwiera. Srebro staje się coraz bardziej poszukiwanym i coraz bardziej deficytowym surowcem uprzemysłowionego Zachodu. Giełdy ten trend skrupulatnie odnotowały.

Cena uncji srebra sięga dziś 4,5 dol., jest trzykrotnie wyż-sza niż w 1972 r.

Ceny na srebro rosną od pewnego czasu dużo szybciej niż ceny na złoto.

Blask złota, cóż, złoto nawet w popiele się świeci.

Wiele z tego blasku niepo-strzeżenie przechodzi na srebro.

Smucić się z tego powodu? A to z jakiej niby racji. Co jak co, ale srebro w naszym kraju obrodziło. Występuje w kopalniach miedzi, które szyb-co się u nas rozrastają. Wyro-by ze srebra mogą z czasem stać się jedną z naszych narodo-wych specjalności. Czujni jak zawsze turyści pierwsi zwierzili skąd wiatry wieją. Na zdrowie, byle dewiz trochę zostawili.

JAN BĄBIŃSKI

NIE TYLKO HISTORIA

WOLNA WSZECHNICA POLSKA W ŁODZI

Młody łódzki pracownik nauki ogłosił książkę — rzecz już sama przez się godna uwagi, skoro tak niewielu spośród nas-zkich młodych kolegów posiada w swoim autorskim dorobku pozycję książkową. Opubli-koval książkę na temat, który wprowadził interesował już wie-lu, nikt wszakże nie zdobył się na to, aby go analitycznie zgłębić. A sprawa jest rzeczy-wicie godna uwagi: chodzi bo-wiem o rolę, jaką w dziejach naszego miasta odegrał działa-jący tu w ostatnim dziesięcio-leciu okresu międzywojennego oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej. Tej to zaśluszonej placówce, której dorobek stano-wi wartościową tradycję inicy-tyw naukowych, rozwinię-tych w szerokiej skali dopiero w Polsce Ludowej, poświęcił swoją książkę Krzysztof Ba-ranowski. Dziełko to nosi tytuł: „Oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi 1928—1939” i zostało wydane przez Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej, oddział w Łodzi oraz Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1977). Dziś zapewne mało kto już pamięta, czym w czasach międzywojennych była Wolna Wszechnica Polska. Zrodziła się ona w Warszawie z Towarzystwa Kursów Nauko-wych, bardzo swojej organi-

zacji, będącej w zasadzie ucze-lnią, powstałej w dobie zelże-nia ucisku zaborcy po rewolu-cji 1905 roku. Po odzyskaniu niepodległości Towarzystwo to przybrało nową formę organi-zacyjną, już jako Wolna Wszechnica Polska, uczelnia wzoro-wana na zachodnio-europejskich „wolnych uniwersytetach”, które od pierwszej połowy XIX stulecia odgrywały znaczną rolę w życiu intelektualnym wielu krajów. Wolna Wszechnica Polska przechodziła różne etapy swej historii. Przez długie lata nie dawała swym absolwentom tych samych praw, co uczelnie akademickie. Akademickie uprawnienia zdobywała sobie powoli, stopniowo dla poszcze-gólnych wydziałów, i to dopie-ro w latach trzydziestych By-ła uczelnia, nie stawiąca ta-kich, jak inne barier, utrud-niających młodzieży dostęp do wiedzy. W porównaniu z uni-wersytetami, była też znacznie bardziej demokratyczna. Nale-ży to rozumieć w dwojakim sensie. Po pierwsze była pla-cówką, grupującą spore grono ludzi, znanych ze swoich lewi-cowych przekonań. Nie było przypadkiem, że właśnie z Wol-ną Wszechnicą Polską związa-li się tacy uczeni, jak wielki socjolog Ludwik Krzywicki, historyk Natalia Gąsiorowska

Grabowska, w przyszłości profesor Uniwersytetu Łódzkiego, jeden z najznakomitych socjologów i historyków kultury tego czasu Stefan Czarnowski, pedagog Stefan Rudniański, biolog Jan Dem-bowski — w przyszłości prezes Polskiej Akademii Nauk — tak dobrze znany w naszym mie-ście Zygmunt Szymanowski i wielu, wielu innych. Wpraw-dzie jest życzliwym dla pamięci uczeni... przesaadą mówić, że jej profesura była w całości nastawiona „radykalnie”, prze-cież nie sposób zaprzeczyć, że było wśród niej sporo wybit-nych osób o przekonaniach le-wicowych, a nawet rewolucyj-nych. Po drugie: Wolna Wszechnica Polska była uczelnia, o-twierającą stosunkowo szeroki — w porównaniu z innymi — dostęp na wyższe studia młodzieży, pochodzącej ze środo-wiska robotniczego i chłopięgo. Skrupulatne wyczerpanie K. Baranowskiego wykazują jed-nak, że sprawa ta nie przed-stawiała się tak prosto, jak w tradycji wychowanków wszech-nicy. W całej Polsce w roku akademickim 1934/1935 studio-wało na wyższych uczelniach bardzo niewielu młodych ludzi z tych środowisk: pochodzenia chłopskiego było 8 proc., a ro-botniczego ledwie 6,4 proc. W

warszawskiej centrali Wszech-nicy w tym samym czasie stu-dentów pochodzenia robotnicze-go było 4 proc., wobec aż 7 proc. w Uniwersytecie Warsza-wskim, ponad 7 proc. w Poli-technice Warszawskiej, 8 proc. na Uniwersytecie Jagiellońskim — a więc znacznie mniej, ani-żeli w państwowych uczelniach akademickich. Demokratyzm Wszechnicy byłby więc mitem? Bynajmniej, choć optymistycz-ną tradycję trzeba sprowadzić do właściwych, potwierdzonych przez źródła rozmiarów. W tym samym czasie, kiedy w War-szawie na Wszechnicy studio-wało owe 4 proc. słuchaczy po-chodzenia robotniczego, w od-dziale tej uczelni w Łodzi dzieci robotnicze stanowiły przeszło 27 proc. ogółu stu-dentów. „Stosunek ten utrzymy-wał się i w latach następnych” — podaje przy tym K. Baranowski.

Informacja to niezmiernie ważna, gdy chodzi o wyrob-ienie sobie poglądu na rolę od-działu Wolnej Wszechnicy Pol-skiej w naszym mieście. Utwo-rzenie tej placówki — wpraw-dzie jeszcze nie samodzielnie wyższej uczelni, ale zawsze wyższego zakładu naukowego — było ukoronowaniem siega-jących lat sześćdziesiątych XIX stulecia zabiegów łódzkiej dzia-łalności o pozyskanie dla Łodzi wyższej uczelni. K. Baranowski przypomniał przy okazji także i te, jakże dawne stara-nia. Czy nie warto byłoby po-święcić im osobną publikację?

Prehistoria łódzkiego ośrodka naukowego, który bójnie roz-wiwał się w okresie Polski Lu-dowej, z pewnością zasługuje na dokładniejsze, aniżeli do-tychczas poznanie. Jest to prze-cież wartościowy wątek tra-dycji intelektualnych ambicji miasta, które nie chciało być „pustynią kulturalną”. Ambicji, którym wiele stawało na prze-szkodzie, nie tylko dawniej, ale także w okresie międzywojen-nym, choćby wtedy, kiedy wła-dze państwowe odrzuciły zgło-szony w 1921 r. projekt utwo-rzenia w naszym mieście trze-ciej w kraju politechniki. Za-chęcałbym do podjęcia takiej pracy autora udanej książki o łódzkim oddziale Wolnej Wszechnicy Polskiej. Myślę też, że z wydaniem tego rodzaju dzieł-ka nie byłoby poważniejszych kłopotów, skoro wydzwinnito Łódzkie rozszerza dziś swe za-interesowanie również na prace naukowe. Rzecz w tym, aby temu nie spłycić: trzeba go potraktować poważnie, opano-wać trudną do zgromadzenia dokumentację, umiejętnie za-stosować do jej opracowania nowoczesne techniki, jakimi posługuje się dzisiejsza histo-riografia. Z pewnością warto jest kontynuować kierunek po-szukiwań, z którego zrodziła się niewielka, ale bogata w treść książka o łódzkim oddzia-le Wolnej Wszechnicy Polskiej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

INFORMACJE

Film o Stefanie Starzyńskim

W Wytwórni Filmów Fabu-larnych we Wrocławiu rozpo-częto realizację — w zespole „Tor” — nowego polskiego fil-mu fabularnego z tytułowane-go „Prezydent Starzyński”. Au-torem scenariusza i reżyserem filmu jest Andrzej Trzost-Ra-stawiecki, operatorem zdjęć — Zygmunt Samosiuk. Film ten utrzyma będzie w konwencji dokumentalno-fabularnej.

„Lęztern” w łódzkiej Operetce?

Ukazujący się od wielu lat „Almanach sceny polskiej” jest źródłem wszelkiej informacji dotyczącej naszego rodzimego teatru. Prowadzona jest tam rejestracja wszystkich sztuk wystawianych na polskich scenach. Jest także klasyfikacja popularności polskich i zagranicznych autorów oraz ich dzieł. Od wielu lat rekordy wszelkiego powodzenia bije Fredro: jego komedie ściągają największą ilość widzów. I właśnie ilość widzów jest miernikiem popularności dla „Almanachu sceny polskiej”.

Jedno z czołowych miejsc na tej tabeli zajmuje komedia „LĘZTERN” łodzian: Romana Gorzelskiego i Feriduna Erola (w opr. muz. P. Hertla). Jak się dowiadujemy łódzki Teatr Muzyczny (zwanego do niedaw-na Operetką) — ma zamiar wystawić „Lęztern” w formie musicalowej. Pamiętamy, że „Lęztern” cieszył się wielkim powodzeniem na scenie teatru im. Jaracza w latach 1970—73. Podobne powodzenie odnoto-wało podczas gościnnych wy-stępów Teatru Polskiego z Bielska, który w br. przyjechał do Łodzi z „Lęzternem”. Łódzki Teatr im. Jaracza przerwał wystawianie „Lęzter-nu” przy pełnej widowni: cho-dziło o wykonanie planu ilości sztuk, a w „Lęzternie” bierze udział kilkunastu aktorów... (!) Wydaje się, że „Lęztern” wy-stawiony w Operetce na ul. Północnej znowu będzie gro-madził komplety widzów spragnionych godziwej rozryw-ki.

Plener w Belchatowie

35 plastyków z całego kraju brało udział w plenerze odby-wającym się na terenie budo-wy Belchatowskiego Okręgu Przemysłowego. Plener, który zorganizowano w ramach akcji „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”, miał na celu poka-zanie przemian zachodzących na ziemi belchatowskiej w związku z realizacją najwięk-szej w kraju inwestycji ener-getycznej.

Katalog zabytków województwa sieradzkiego

Biuro Dokumentacji Zabytk-ów województwa sieradzkiego i wojewódzki konserwator pa-tronują wydaniu katalogu za-bytków województwa, w któ-rym znajdzie się opis i zdjęcie każdego obiektu. Wydana zo-stanie także mapa zabytków woj. sieradzkiego. Warto dodać, że przy współpracy Muzeum Okręgowego wydany zostanie „Katalog portretu staropolskie-go” w zbiorach Muzeum Okrę-gowego w Sieradzu.

Nowy film „Silesii”

Zespół „Silesia” kręci nowy film pt. „Biały jeleń”, którego akcja rozgrywa się w mieście przemysłowym a dotyczy mło-dzieży wchodzącej w dorosłe życie.

Hutnicy opiekunami zamku

XVII-wieczny zamek w Kru-szynie, w woj. częstochowskim poddawany jest obecnie za-biegom konserwatorskim. Wkrótce przejmie go Huta im. Bieruta w Częstochowie i be-dzie służył hutnikom. Pod ich opieką znajdzie się również piękny park pałacowy w stylu włoskim.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAURZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREJDLICH, WISŁAW JA2DZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZE-MIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.



Foto: W. Parys

RANGA KULTURY

Rozmowa z **WOJCIECHEM EKIERTEM**
— dyrektorem Wydziału Kultury
i Sztuki Urzędu M. Łodzi.

— Kultura odgrywała zawsze ważną rolę w życiu naszego narodu, w pewnych warunkach historycznych zastępowała nawet niezależność polityczną, była nieodłącznym składnikiem naszych marzeń o wybitności na niepodległość. Dzisiaj, bez rozwoju kultury, nie byłby możliwy społeczny postęp. Co robimy w Łodzi, aby poszerzyć zasięg oddziaływania kultury, czym uwarunkowany jest wyższy poziom naszego życia?

— Nie jest łatwo odpowiedzieć na tak postawione pytanie, przede wszystkim ze względu na jego treściwą pojemność. Poszerzenie społecznego zasięgu kultury związane jest przede wszystkim z rozwojem bazy, na co nasz Wydział ma na pewno nie mały wpływ. Zależy ono także od aktywności środowisk twórczych, które my możemy tylko zachęcać i inspirować, ale gdzie nasza ingerencja nie na wiele by się zdała, bo wartości duchowe, jakie niesie z sobą sztuka, nie dadzą się zadekretować. Trzeba w końcu pamiętać o tym, że mówiąc o poszerzeniu społecznego zasięgu oddziaływania kultury mamy do czynienia nie tylko z zasięgiem przemian materialnych, tak widocznych w przemyśle stanowiącym wizytówkę Łodzi i województwa łódzkiego, ale w równym stopniu z przemianami w sposobie myślenia, czego nie można ująć w liczbach.

Pomówmy więc o tym, co zrobiliśmy w naszym mieście, aby stworzyć warunki do aktywnego uczestnictwa w kulturze setek tysięcy łodziaków. Są to działania mało efektywne, ale sprzyjające rozwojowi wszystkich dziedzin kultury i poważnie wzboga-

cające nasz stan posiadania. Tak więc w ostatnim czasie wykwaterowaliśmy lokatorów z zabytkowego bielnika przy ul. 8 Marca, który przekazaliśmy Pracowni Konserwacji Zabytków. Podobnie zabytkowy pałac Herbsta zmienił użytkownik i powstanie w nim Muzeum Wnętrza II połowy XIX wieku. Pozyskaliśmy cały szereg innych zabytkowych obiektów. W pałacyku przy ul. Jaracza 45 otworzy podwoje szkoła baletowa. Teatr Wielki zyskał nowe pomieszczenia w budynku obok. W domu przy ul. Piotrkowskiej 171 znajduje nową, wreszcie godziwą siedzibę. Wydawnictwo Łódzkie. Miasto wzięło na siebie cały ciężar wykwaterowań, aby polepszyć warunki lokalowe szeregu instytucji artystycznych. Czekają swojej kolejki Teatr Nowy, Teatr Jaracza, Biblioteka im. Waryńskiego.

— Nie wyczerpuje to chyba ani listy potrzeb, ani tym bardziej działań, które służą poszerzeniu bazy materialnej w dziedzinie kultury?

— Oczywiście. Podałem tylko kilka przykładów, aby uzmysłowić, że poprawa sytuacji lokalowej instytucji artystycznych jest naszą nieustanną troską. I że mamy efekty, które pozwalają z optymizmem spoglądać w przyszłość, choć do zaspokojenia wszystkich potrzeb jeszcze bardzo daleko. Czeka na nową siedzibę zespół filmowy „Profil”. Dom przy ul. Moniuszki 3 będzie w części zresztą wykorzystywany jako ośrodek propagandy sztuki filmowej, co ma niebagatelne znaczenie, jeśli Łódź ma rzeczywiście być stolicą polskiego filmu.

— Ale są to działania na rzecz za-

wodowych instytucji artystycznych. A co z twórcami indywidualnymi?

— W zasięgu naszej uwagi są przede wszystkim plastycy, gdyż głównie oni potrzebują stworzenia warsztatów pracy. I można bez najmniejszej przesady powiedzieć, że Łódź wybiła się na czoło miast w Polsce pod względem liczby pracowni oddanych w ostatnim okresie czasu malarzom w nowym budownictwie. Niestety, wciąż jeszcze nie jest rozwiązany problem pracowni dla rzeźbiarzy i artystów-ceramików. Nie znaczy to, oczywiście, że zapomnieliśmy o nich. Zdecydowaliśmy, że małe budynki posiadające walory architektoniczne, które pozostają na nowych osiedlach, będą przekazywane właśnie plastynom. Propozycja ta spotkała się z akceptacją władz miasta. W tych obiektach powstałyby więc nie tylko pracownie dla rzeźbiarzy, ale także mini-galerie, swoiste placówki propagandy sztuki.

— Sądę, że to interesujący projekt. Ale o bazie kulturalnej w Łodzi można przecież nieskończenie. Co zrobi się w najbliższym czasie, aby wydatnie zwiększyć jej wciąż skromny stan posiadania?

— Ten stan posiadania nie jest wcale taki skromny, ale oczywiście cieszy nas każdy obiekt, który zwiększa nasze możliwości działania. I wiele robimy, żeby sytuację jeszcze poprawić. Tak na przykład w przyszłym roku Łódź otrzyma Dom Aktora. Trwa remont „Luźni”, w której znajduje siedzibę Teatr 7.15, a w jego dawnej sali przy ul. Traugutta będzie otwarty lokal gastronomiczny z kabaretem. W pałacu, gdzie mieści się Muzeum Historii Miasta przeprowadzamy adaptację sali widowiskowej dla potrzeb drugiej sceny Teatru Powszechnego. Przystąpiliśmy do remontu i rozbudowy Łódzkiego Domu Kultury. Wreszcie istnieje projekt przydzielenia dodatkowych pomieszczeń intensywnie rozwijającemu się Muzeum Historii Miasta w pałacu Poznańskiego.

— A więc przede wszystkim adaptacje?

— Adaptacje i remonty, które systematycznie przeprowadzamy w naszych instytucjach artystycznych i to często własnymi siłami, bez angażowania przedsiębiorstw budowlanych. Wykonują te prace nasze brygady techniczne, na przykład, z teatrow, a efekty ich działań można zobaczyć w Teatrze Powszechnym, w Teatrze Nowym, w „Pinokiu”. W przyszłym roku zakończymy kapitałny remont teatru „Arlekin”. Ale na tym nie koniec. Wznosimy także nowe placówki kulturalne. Zamierzamy budować kino w Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkanolowej. Pragniemy także rozpocząć jeszcze w bieżącej pięcioletce budowę nowego gmachu filharmonii.

— Duże nadzieje wiążemy także z budownictwem realizowanym przez spółdzielczość mieszkaniową, w której znaleźliśmy partnera rozumiejącego potrzeby kulturalne miasta. Dzięki niej systematycznie powiększa się nasza baza. W najbliższym czasie zostanie, na przykład, oddany do użytku Osiedlowy Dom Kultury przy ul. Lanowej.

— Czy te wszystkie działania okażą się wystarczające? Czy gospodarczy rozwój naszego miasta nie okaże się szybszy niż postęp w dziedzinie kultury? Taka dysproporcja nie byłaby społecznie korzystna.

— I przynajmniej na razie zupełnie nam nie grozi. Problem nie polega bowiem jedynie na rozbudowie bazy. Istnieje przede wszystkim pilna potrzeba lepszego wykorzystania całego stanu posiadania, szczególnie placówek zakładanych dostępnych dla ogółu mieszkańców. Nie jest też najszcześliwsza „geografia” tych placówek, bo nie zawsze sprzyja czynnemu uczestnictwu w życiu kulturalnym.

— Jak to rozumieć?

— Układ przestrzenny kultury ma niewątpliwie duży wpływ na się jej oddziaływanie. Niestety, nikt nie prowadził szczegółowych badań w tej dziedzinie, a szkoda. Nam się wydało przed laty, kiedy budowaliśmy kino „Iwanowo”, że skoro placówka ta zlokalizowana została w pobliżu dużego osiedla mieszkaniowego, będzie się automatycznie cieszyła dużą frekwencją. Tymczasem o widza trzeba tam było zabiegać. I jeśli dziś kino to jest odwiedzone, to właśnie dzięki liczny naszym poczynaniom, które spopularyzowały tę placówkę. Rzecz w tym, że w Łodzi istnieje duże przywiązanie do tradycyjnego centrum kulturalnego w śródmieściu. To sprawa pewnych nawyków, które trudno zmienić z dnia na dzień. Tym bardziej, że jak wspominałem, problem ten nie zainteresował dotychczas naukowców. I gdyby przyszło nam rozstrzygnąć, gdzie wybudować nowe kino, to będziemy się musieli kierować raczej wyczułkami praktycznymi niż argumentacją socjologiczno-psychologiczną. Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów także jest bezradne, gdyż podobnych badań nie prowadzi się nigdzie w kraju.

— Jakie więc względy decydują o lokalizacji pewnych placówek kulturalnych w określonej dzielnicy? Czy nie działamy trochę na oślep?

— Kierujemy się doświadczeniem,

które mówi nam, że placówki kulturalne w nowych osiedlach mieszkaniowych powinny znajdować się w bezpośredniej bliskości kompleksów handlowych, gastronomicznych, sportowych. To pragmatyczne podejście okazuje się, jak dotąd, wystarczające.

— Ale Łódź dzisiejsza to przecież całe województwo wraz z wszystkimi dysproporcjami, które wynikają z różnicy potencjału gospodarczego a nawet sposobu bycia. Czy dla zniewolenia tych różnic wystarczy sam pragmatyzm?

— To trudny problem, chociaż intensywnie zajęliśmy się sprawą u powszechnienia kultury w województwie łódzkim. Przystąpiliśmy przede wszystkim do organizowania Gminnych Ośrodków Propagandy i Kultury, aby stworzyć taką strukturę organizacyjną, gdzie to upowszechnianie będzie się mogło najlepiej realizować. Nie stanie się to od razu ze względu na wieloletnie zaniedbania, bowiem przejechaliśmy wszystko z dobrodziejstwem inwentarza, a to oznaczało: niedostatek bazy, brak kadry o odpowiednich kwalifikacjach, rozproszenie środków materialnych. To tylko niektóre kwestie, które przyszło nam rozwiązywać. Wciąż jeszcze pracujemy nad koncepcją upowszechniania kultury i sztuki w środowisku wiejskim i małych miasteczkach. Staramy się zainteresować nasze instytucje artystyczne patronatem nad poszczególnymi gminami. Pierwsze kroki zostały zrobione, ale z rezultatów nie jesteśmy jeszcze zadowoleni. Chodzi przecież o kapitałny problem integracji zaniedbanych kulturalnie terenów, a w konsekwencji wychowania ludzi: wrażliwych, aktywnych życiowo, zdolnych do korzystania ze wszystkich wartości duchowych, jakie niesie z sobą sztuka. Widzimy naszą perspektywę w nowo budowanych szkołach, które mogłyby być zarazem ośrodkami kultury na danym terenie. Przecież biblioteka szkolna może być jednocześnie biblioteką publiczną, salą gimnastyczną, odpowiednio przystosowane, mogą służyć z powodzeniem celom ogólnokulturalnym. Jest to chyba jedyna realna droga aktywizacji kulturalnej terenów zaniedbanych i włączenia ich w orbitę naszych działań.

— Fakt powstania województwa łódzkiego zmienił w jakiś sposób model upowszechniania kultury w naszym mieście. Zastanawiamy się co jeszcze wyróżnia Łódź na tle dużych ośrodków przemysłowych? Czy można mówić, że nasze miasto w zakresie potrzeb kulturalnych posiada swoją specyfikę?

— Może to mi będzie podyktane za brak skromności, ale powiem, że Łódź korzystnie wyróżnia się na tle innych miast jeśli chodzi o realizację repertuaru współczesnego w teatrach. Na pewno także nie mamy równych sobie w Polsce jeśli chodzi o tkankę artystyczną i unikatową. Nasze zbiory sztuki nowoczesnej należą do najbogatszych w Europie. Łódź posiada także specyficznego odbiorcę wartości kulturowych jako ogromne skupisko klasy robotniczej. Jest to odbiorca chłonny, wrażliwy i krytyczny, trudno go zadowolić. Dlatego tak bardzo zależy nam na twórczym fermentie w środowisku artystycznym. Dlatego staramy się przyciągać do nas także wielkie indywidualności jak Henryk Czyż, Kazimierz Dejmek, Roman Kłosowski, Bohdan Wodiczko. W przeszłości mieliśmy raczej do czynienia z procesem ucieczki z Łodzi wybitnych artystów. Zmiana tej sytuacji utwierdza nas w przekonaniu, że to co robimy w dziedzinie kultury jest słuszne i spotyka się z uznaniem. Najlepszym tego potwierdzeniem wizyta w Łodzi i sekretarza KC PZPR tow. Edwarda Gierka, który wziął udział w inauguracji nowego roku kulturalno-oświatowego. To wielkie wyróżnienie, a zarazem wyraz aprobaty dla środowisk twórczych w naszym mieście, dla ich aktywności artystycznej i postawy obywatelskiej. Jest to zarazem potwierdzenie ogromnych przeobrażeń, które zachodzą w całym mieście, a które rozciągają się także na sferę kultury.

— Jaka więc jest dziś ranga kultury łódzkiej w skali całego kraju?

— Na pewno wysoka, choć trudno o precyzyjne określenie. Jeśli przyjąć za miarę te rangi konkursy, festiwale czy przeglądy to mamy szereg liczących się osiągnięć. Coraz częściej reprezentujemy także kulturę polską za granicą. Pozycja gospodarcza Łodzi na mapie kraju nie uległa zmianie, jest niezmiennie wysoka, a nasze zadanie polega na tym, żeby równie wysoka była pozycja naszego miasta w dziedzinie kultury. W ciągu ostatnich dwóch lat zrobiliśmy bardzo wiele na tym polu. Chcemy rozwijać w rozumny sposób wszystkie podstawowe dyscypliny sztuki, artystyczny ruch profesjonalny i amatorski ze szczególnym jednak uwzględnieniem instytucji artystycznych. Filharmonia Łódzka zawsze będzie przecież wizytówką miasta na zewnątrz. Chcemy dostrzec potrzeby tych instytucji, a jednocześnie dbać o podnoszenie ich poziomu ideowo-artystycznego.

— Zapytam znowu: a gdzie twórcy, którzy działają poza instytucja-

mi artystycznymi — pisarze, plastycy?

— I oni przecież działają często w ramach instytucji. Chcielibyśmy więc jeszcze raz do tej pory zrobić dla wzajemnej współpracy artystów reprezentujących różne dyscypliny. Jest naszą troską, aby w dokonaniach filmowego zespołu „Profil” mieli większy udział łódzcy literaci i scenografowie, muzycy i aktorzy. Duże pole do popisu ma tu także Dom Środowisk Twórczych znany niebawem jako restauracja niż placówka zajmująca się upowszechnianiem kultury i grupująca wokół siebie twórców, którzy szukają nowych dróg dotarcia do odbiorcy. Ale w sposób administracyjny niewiele można zrobić, choć nie rezygnujemy i z tej drogi. Miasto rozpisало konkurs na nowe filmowe, rozpisalo cacy szereg konkursów na reportaże. Chcielibyśmy, aby łódzcy twórcy w pełni uczestniczyli w procesie przeobrażenia miasta. Stąd, na przykład konkurs na łódzki pejzaż. Niechże plastycy zarejestrują to, co z Łodzi odchodzi na zawsze, co się w niej zmienia. Plastycy mają naprawdę wspaniałe pole do działania. Brak na przykład pamiętek łódzkiech.

— A co z głównym nurtem naszych dotychczasowych działań? Mam na myśli tak świetnie rozpoczętą akcję „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką”.

— Akcja oznacza zazwyczaj jakieś zmasowane, ale i krótkotrwałe działanie. Tymczasem „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” to proces nieustannej aktywizacji kulturalnej środowiska robotniczego, wymagający także od twórców przemysłowych i ambitnych działań. Nie popadam w euforię, bo nie wszystkie z tych działań są właściwie zaadresowane, ale cieszą mnie autentyczne sukcesy zwłaszcza artystów, którzy znaleźli sprzymierzeńców w zakładach pracy. Przykładem prawdziwego sojuszu świata pracy ze sztuką był jubileusz ZPB im. Obrońców Pokoju uświetniony plenerem malarskim i wystawą prac, które z tej okazji powstały. Część z nich został zakupił od malarzy. Mecenat zakładów przemysłowych stał się nieodłącznym składnikiem życia kulturalnego w Łodzi. A plenery rzeźbiarskie „Elyty”? Są to działania bezprecedensowe w skali kraju.

— Czy Wydział Kultury i Sztuki zdolny jest, przy tej mnogości poczynań kulturalnych, wpływać na ruch kulturalny w Łodzi?

— Byłoby chyba źle, gdybyśmy prowadzili twórców za rączkę i podpowiadali im: zrobicie to, zrobicie tamto. Wydział stara się tylko stworzyć takie warunki w mieście, aby mogły rozwinąć się autentyczne inicjatywy. Jesteśmy przede wszystkim koordynatorami tych poczynań, często także mecenasem, bo sprawy ekonomiczne, także w sferze kultury, są bardzo ważne. Po wielu latach doprowadziliśmy do powstania funduszu wydawniczego, dotujemy pewne pozycje książkowe ważne dla miasta, czasem jesteśmy wprost wydawcami. Wszystkie przemiany jakie zachodzą w Łodzi rejestruje wiele pism oraz łódzki Kwartalnik Filmowy.

— Nasze możliwości finansowe nie są małe, ale dość ustabilizowane, toteż znalezienie pozycji w budżecie na jakąś całkiem nową inicjatywę nie jest często rzeczą prostą. Wówczas szukamy mecenasów. Bardzo poważnie zwiększyły się zakupy prac artystów łódzkich przez zakłady pracy, a także przez społeczeństwo.

— Rozpoczął się nowy rok kulturalno-oświatowy. Czego społeczeństwo Łodzi może się po nim spodziewać?

— Będzie to rok bogaty w wydarzenia artystyczne. Wiele z nich wiąże się z obchodami sześćdziesiątej rocznicy Rewolucji Październikowej. Już teraz czynna jest wspaniała wystawa w Muzeum Sztuki ilustrowająca życie i twórczość Włodzimierza Małajkowskiego. Zapoczątkowała ona całą serię wystaw, które będą ekspozycyjne w różnych instytucjach artystycznych. Odnajdujemy tylko takie tematy jak „Wpływ Wielkiej Rewolucji Październikowej na ruch robotniczy w Łodzi i okręgu łódzkim”, „Rewolucja Październikowa w obiektywie Jana Skarbka-Malczewskiego” czy też „Satyra radziecka”. W Łodzi odbędzie się też ogólnopolski przegląd sztuk rosyjskich i radzieckich teatrów lałkowych. Przewidujemy wiele premier sztuk rosyjskich i radzieckich na naszych scenach. Teatr Wielki będzie gościł wybitnych radzieckich artystów.

— Godne odnotowania są także imprezy jak „Tydzień Plastyki Łódzkiej”, „Cepeliada” „Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych”, „Festiwal Twórczości dla Dzieci” czy „Polskie Targi Estradowe”. Niektóre z tych imprez wykraczają swoim znaczeniem daleko poza granice Łodzi. I to także nas cieszy.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDICH

Jakże inaczej niż w domu wygląda tutaj poranek. Pełen dymu, który przylepia się do nisko wiszących chmur nad miastem, rozmazuje kontury domów i twarze, które obnoszą na sobie reszki snu. Środkiem jezdnii pędzi z hałasem tramwaj, z prędkością — dwie ciężarówka. Nie wie na co ma patrzeć, czego się bać, czemu najpierw się zdziwił, jak przebiega druga strona ulicy.

Czuje się obco, bezbronne. Zimno — kiedyś w sadzie drzewa były też szare od światła, ziemia rozkisała, ale wiedział przynajmniej jak głęboko pięta mu się w ziemi zanurzy, gdy tutaj wszystko jest obce, zimne, ostre w dotyku. Okna wysoko. Nawet zajrzeć przez nie nie można.

I gadać mu jeszcze tu przyjdzie. Język zaplącze się w gardle, utknie między zębami. Wejdzie, zapuka, czapkę ściśnie pod pachą... Ale co zrobić z tekturowym pudełkiem? Strach zostawić przed drzwiami, bo a nuż mu ukradną? W garści trzymać nie może, musi machać rękami żeby łatwiej szło mu gadanie.

Zimno, wiatr przewiewa nogawki, ale myśl o Bronce orzeźwia go szybko: jest już mężczyzna, przyjechał jej tutaj pokazać.

— Nie widzisz, gnojku, jak idziesz? Z piskiem opon zatrzymała się przed nim ciężarówka. Widać rozpoznali go po tekturowym pudełku. Zmięte po nocy, obkurzone. Kto dziś w tekturowym pudełku obnosi dobytek. Nie mógł się już doczekać, by drzwi zatrasnął za sobą tak go pililo. Czytając ogłoszenie w „Przyjacielu” o tej pracy na Śląsku nie wyczytał jednak o nocy. Co zrobić, gdy po przyjeździe na miejsce noc się zastanie na dworcu? Kiedyś spędał je w sadzie, ale wtedy był szlachas, siano, koc do przykrycia. I blisko do domu. Tutaj, na dworcu musi wystarczyć tekturowe pudełko, żeby na nim głowę przyłożyć do rana. A teraz przeskądza mu w rękę, trudno wcisnąć je w kieszeń, zimno, nie ma się kogo zapytać o drogę. O jaką drogę?

Poczuł się pewnie, gdy chwycił w dłonie łopatę. Przynajmniej coś konkretnego. Odcisnął się nie bał, na cztery łopaty sił by starczyło — ważne, że trzyma coś w ręku. To już nie przechodzenie z jednej strony ulicy na drugą, gapienie się w okna i na tabliczki na murze i strach, że nie zastanie kogo potrzebne, albo nie będzie potem gdzie spać — tylko w domu wyglądało wszystko tak pięknie.

Pada śnieg z deszczem, ale mu teraz bezpieczniej: „trzymam” się młodo trzonka łopaty jak ojca za rękaw. Z przodu nic mu nie grozi — ważne, żeby choć jedna strona była z oparciem, to z tą drugą już łatwiej poradzic.

Z drugiej strony łopaty też nie najgorzej. Krajobraz prawie znajomy, szosa jak w jego stronach. Gdyby dobrze wyciągnął szyję, to i ojcową chałupę pewnie by dojrzał. Nawet kępa drzew taka sama. Wszystkie się zgadza: jakby u siebie, a jednak daleko jak trzeba. Przez pierwszy miesiąc trochę grosza zarobi, przez drugi odeśle na wieś co sobie na wyjazd pożyczył, przez trzeci — dołoży do tego co mu zostanie. Po czterech miesiącach powinno wystarczyć na opłacenie już kursu na prawo jazdy. O pracy na szosie nie będzie w domu nikomu mówić. Pochwali się dopiero tym, po co naprawdę tutaj przyjechał. Od razu wszystkiego nie można. Od razu to można dostać niestety po mordzie. Ale też go to uminął. Bokiem. Najważniejsze, żeby z miejsca ustawił ludzi jak trzeba. Choćby i samego Kazika, który właśnie przyjechał z urlopu. Krząta się po pokoju, naciera łeb brylantyna, na nagie dziewczę przyklejone nad łóżkiem się patrzy. Leszka jakby nie widzi. Tylko tekturowe pudełko wystające rogami spod łóżka.

— Ze wsi?

— Bo co?

— Bo nic, zapytać nie można?... Kazik jestem — wyciągnął rękę do Leszka. Na wywrócie się jeździ.

— Leszek... Znacze Górecki.

— Kierowca?

— Nie, proszę pana.

Kazik z miejsca poczuł się pewnie, gdy mu Leszek wyskoczył z tym panem.

— Zapal! — wyciągnął z kieszeni pudełko carmenów, żeby go zgniebić do reszty.

— Nie palę.

— A wypić lubisz?

— Zależy.

Leszek podniósł się z łóżka, podszedł do okna, wyrzucił przez szybę. To co, że imponuje mu Kazik. Zawodowy kierowca, wiadomo, wlos ułożony na fale. Na nocnej szafeczce jakieś flakoniki czy kremy, pod łóżkiem Leszka — słoik ze smalcem i kawał boczku w pudełku. No, ale tego imponowania nie da mu poznać po sobie.

Henryk Czarniecki

PLASZCZ

— Muszę już pryskać — Kazik podciągnął krawat pod szyję. — Aha! Musimy jeszcze uzgodnić parę detali, takie, wiesz, różne sprawy domowe, kapujesz?

— To gadaj. — Leszek też przeszedł nagle na ty.

— Skoro już mieszka się razem, to... trzeba się jakoś urządzić nie? Jutro pokażę ci moją wywrótkę, bombonierka, kapujesz? Kocyc z flanelki, żubrówka w pierświóce, ciasteczka. Wszystko pod ręką. Nigdy nie wiadomo kto po drodze się trafi. Ale to wszystko dopiero od wiosny. A teraz trzeba kombinować inaczej. Leszek milczy, nic nie rozumie prócz tego, że Kazik ma samochód na medal. Ale co wiosna do tego?

— Nie szkodzi, podpytywać nie będzie, może to samo jakoś wyjdzie z Kazika mówienia.

— Portiera można skaptować za ćwiartkę, wiesz? I trzeba mieć jeszcze rozumiejących życie kolegów. Jak zobaczysz wetkniętą w drzwi pinętkę, to się nie dobijaj na chana, bo są i takie co się krepują przy innych, choć ciemno, kapujesz?... Wtedy, znakiem tego, wal najlepiej do kina.

— Deszcz ze śniegiem, jeszcze dzień do drugiego podobny, drugi też do trzeciego, pod błotem ziemia zmarznęta, trzeba ją rąbać kiofem. Nic niby trudnego, ale z zadróżcią patrzy na spychacz. Tylko się siedzi, w nogi sucho, na głowę nie kapie — drobiazg, jakoś to będzie. Były kurs tylko skończyć. Przelicza w myśli pieniądze, rozkłada na kupki, najwięcej zaoszczędzić można na żarciu...

— Chodź, zjemy coś w mieście — kiedyś zaproponował mu Kazik.

— Nigdzie nie idę.

— Jak sobie chcesz, ale w domciu nigdy się nie wykierujesz na ludzi. Trzeba się otrzeć i dotrzeć, kapujesz?

— Nie szkodzi, poczekam.

— To wpadnij wieczorkiem po ciebie. Do kawiaru się wskoczy, coś na wieczór poderwiem...

— Nie.

— Coś taki męczak. Na pobożnego się zgrywasz?

Leszek odstawił garnuszek z masyżki, podszedł do niego.

— Słuchaj mnie Kazik. Ja się nie mieszam w twoje sprawy, to ty się odchrząń od moich.

— Ze co?

— To co słyszałeś. Nie doszło?

— Twoja sprawa. Co mnie obchodzi razem ze swoją grochówką i innymi tam...

— A ty mnie z pinęzkami. I żebyś mi ich więcej w drzwi nie wtykał, rozumiesz?

Kazik nagle spuścił z tonu. Wiadomo: do wiosny daleko.

— Po co ta mowa. Ze ci zaproponowałem dziś wieczór? Nie możesz, trudno. Sztama? — wyciąga rękę do Leszka.

— Niech będzie.

Wyciąga łyżkę, pół bochna chleba, kraje kozikiem... Kurs kursem, ale najpierw trzeba się jednak ubrać. Buty, skarpetki, koszula non iron. No i oczywiście czarny garnitur. „Na czarnaście fajerek”. Zeby z dwóch kilometrów było już widać, że nowy. To liczy się na wsi, tego odmówić sobie nie można, nie wolno. Golo-dupcem wyjechał, ale pokazać się musi. Już na Zielone Święta chyba najlepiej.

Wiosna, zielone drzewa, wesoło skrzypią pióbuty, krawat się blysz-

wił i może uda mu się rano odpisać do zeszyciku z pamięci, żeby mieć potem gotową na wszelki wypadek. Takiej mowy to nawet w kinie nie słyszał.

— Znowu list do pana — zaczyna go portier.

— Dziękuję.

Ogląda kopertę, poznaje znajome pismo, wbiega po dwa stopnie na górę, — fotografia wysypuje się z listu na podłogę.

„Kochany Leszku...”

Zeby tylko nikt nie wszedł i nie przyłapał, gdy z fotografią rozmawia, na kartoniki się gapi, czy jakby się pocał. Bronkę na fotografii rad by całować, albo do kapoty chociaż przycisnąć.

Odlżył list nie czytany, podszedł do Mietka szafki, wziął trzy pinezki. Wbił w drzwi — obie na wszelki wypadek, gdyby tam któraś sama odpadła, trzecią przypiął zdjęcie do szafy. Uśmiechnął się do niej: teraz może i czytać i patrzeć. Poszukiwał zaczone już zdanie:

...a liście to takie same jak wtedy, kiedy mówiłem, że mokre, bo rano deszcz także padał. A jeszcze potem to w miasteczku spotkałam swój rower. I zaraz mnie siekło, czy ci go akurat nie skradli, bo hym na końcu świata też go poznała. Taki trochę skrzywiony bliotnik, gdem się wtedy wywaliła na trawę, pamiętasz? I zaraz mi tamto wszystko przed oczami stanęło. Ale to był na rowerze twój ojciec, więc mu powie działam dzień dobry, bo to tak trochę jakby jego spotkała, tak mi się zrobiło na duszy. Ale ty może już nie przyjeżdżesz, albo co, a ja tu myślę, patrzę się w okno, a ty tam we świecie. Pewnie tyle ładnych dziewczyn przy tobie, a ja tu trochę jak ta sztacheta co to z piętą wyrwana...”

Zdjął z szafy fotografię — co to inni mają się patrzeć?

...Bronka daleko, a jakoś blisko. Każdego dnia bliżej — doczekać się trudno. Jeszcze tylko garnitur mu został do kupna, wszystko inne już ma jak trzeba. Nawet prezenty zakupił na wszelki wypadek, gdyby mu nagłe forsy zabrakło.

Zeby już ten garnitur... No tak. Garnituru przecież jeszcze nie musi, latem nie trzeba, na zabawę także nie pójdzie... Skompletuje jakoś co ma i wio na te święta do domu.

— Byś, Kazik, pożyczył swój płaszcz.

Kazik spojrzał przez okno na niebo.

— Co się łamiesz, deszczu przecie nie będzie — przekonuje go Leszek.

— To po jakiego czorta ci płaszcz?

— No... jakby ci to powiedzieć... bez płaszcza w ciągu tak jakiś nijako.

— Jeszcze poplamisz.

— Coś ty! Ani razu nie włożę. Tylko tak sobie... ćwiartkę postawie, no?

— To bierz, tylko pamiętaj...

— Przecie mnie znasz. Jak mówię, to wiesz... wody nie leję.

Zerknął na teczkę Kazia. Gdyby tak razem, byłby niezgorszy komplekt dla oka.

— Dasz jeszcze teczkę?

— A po co?

Jabłec ci trochę przywiozłem... albo czeresni — potapał się w porę. — Przecie w torebce nie będę ich taszczył.

Dobrze, że pożyczył ten płaszcz

i teczkę. Niby nic, a zaraz spojrzęła na niego inaczej.

— Aleś się tam wyglancował — z uznaniem spojrzęła na płaszcz i teczkę. — Teraz to pewnie nie będziesz mnie chciał.

— To po co bym tutaj przyjeżdżał, co?

— Naprawdę ześ dla mnie przyjechał?

— A co ty myślałaś?

Na szyję mu się rzuciła. Najgorzej tylko było mu z teczką, bo w obrze Bronkę odnalazł. Teczki na ziemi położyć nie chciał, na poczekaniu gwoździła nie znalazł — no to kolanami ją ścisnął, a płaszcz na ramieniu, to sam się już trzymał.

Na jej starych też zrobił wrażenie. Zawsze to przecież przyjemnie, że ktoś taki do córki przyjeżdża, a nie jakiś lachmyta.

— No to jeszcze po jednym. Taki gość. Przynieść tam, matka, jeszcze następną karafkę.

— A pan Leszek to tam co niby — pyta matka.

— Na razie tak... różnie. Najpierw kurs musimy skończyć.

— Nie żał to tak panu Leszkowi po świecie się tułać? Po obcych? Ani tam kto koszule przepierzle, ani za dba jak trzeba...

Zagrzmiało.

— O Jezu! Deszcz będzie. A my tam siano na łące.

Poderwał się Leszek.

— To ja pomogę. Jak się weźmiemy, to raz raz i...

— Dobra! — ucieszył się ojciec.

— Pan Leszek od pocznie, sami poradzimy.

— Ale... ja przecie chętnie.

— Nie, nie! — powiedziała stanowczo. — Pan Leszek tutaj za gościa i koniec.

...No i raz jeszcze potem płaszcz mu się przydał. Pod wieczór, gdy do domu się zbierał.

— Ze sianem to się nam jakoś udało — mówi matka. — Ale z panem Leszkiem to gorzej.

Wystawił rękę przez okno.

— Już teraz mniejszy. Prawie nie czuje.

— Może przestanie — pociesza go Bronka.

— Się nie zanosi. Zresztą mam płaszcz, to te parę kilometrów milgiem na rowerze przeskoczę.

Ubrał się, pożegnał, wziął teczkę, kolarz postawił — wygląda teraz jak tamten z filmu, co ścigał takich co ukradli brylanty. Tak. Nie ćwiartkę, ale pół litra Kazikowi postawił, że mu tak elegancko tutaj wypadło.

— Ale z ciebie dziewczyna! Oczu oderwać nie można.

— Pewnie każdej tak mówisz. Już cię tam wycywili — przekonmarza się Bronka.

— Jeżeli nie wierzysz, to trudno, a ja i tak wiem swoje.

— Ja tylko tak sobie. Już się nie gniewaj.

Odprowadziła go do kuchni. Leszek pocałował ją w rękę.

— No co? Nie zapomnisz? — zapytała.

— A przyjechałabyś ty kiedy do mnie na Śląsk?

— Może...

— Przyjdziesz!

Gdy tylko drzwi zamknął od kuchni zaraz w sionce się rozpiął, pod okapem szybko zdjął płaszcz, złożył na cztery, zapakał od teckiego — jeszcze by fason mógł stracić na deszczu, a Kazikowi obiecał, że mu odda jak nowy. Bo tecze to się chyba nie stanie nic złego gdy pomoknie trochę na deszczu.

Tylko potem musiał uważać: żeby słonina nie zatłuściła jej od środka. Drobiazg. Słoninę najlepiej weźmie osobno. Także i jajka osobno. Zeby się nie rozgniotły mu w tecze. Diabli tylko wiedzą co z kartoflami. Przed włożeniem do tecki myć ich przecie nie będzie. Już wie: kartofle też do papierowej torby, a jajka — do tej samej i na wierzch. Po co Kazik ma widzieć, że z domu taszczy ziemniaki. Dopiero by kpinki na ten temat odstawił.

Fragment powieści pt. „Daleko od szosy”, która ukaże się w Wyd. Łódzkim.

DZBANEK ŻYCIA

Tadeusz Chrościelewski wydał ostatnio powieść, zatytułowaną — „Dzbanek życia”. Mam wyraźną słabość do tego rodzaju prozy, trudnej do zdefiniowania, bardzo jednak urokliwej, realistycznej w gruncie rzeczy a przecie równocześnie jakby baśniowej, pozbawionej wartykłej fabuły, zaskakujących sytuacji, wciągającej wszakże czytelnika w świat bliski, rodzinny, serdeczny.

„Dzbanek życia” przypomina nieco niektóre poprzednie książki autora, że wymienię dla przykładu „Rodzine Jednoróżców”, czy „Laskę Matuzalema”. We wszystkich bohaterami są członkowie rodziny, rozległego Klanu Inteligencji prowincjonalnej, obda-

zonego pamięcią sięgającą niekiedy w bardzo już dalekie lata. Jest to pamięć intymna, związana z ulubionymi przedmiotami antenatów, drobiazgami, które przetrwały swoich właścicieli — fotografie, wysłużone laski, pożółkłe listy, domowe sprząty. Ale jest to także pamięć historyczna, odnosząca się do wydarzeń znaczących w dziejach naszego kraju — powstań narodowych czy obu wojen światowych. Bohaterowie Chrościelewskiego, Polacy z krwi i kości, zawsze w miarę swoich możliwości należeli do czegoś, za coś ważnego odpowiadał, w ich losach zamkniętych pozornie w małym miasteczku, sprawdzały się powszechniejsze losy.

„Dzbanek życia” tyczy także rodziny. Tej samej, jak można sądzić, ale widzianej w inny sposób. Podobnie co i w poprzednich powieściach Chrościelewski nie buduje jakiejś

frapującej fabuły wiódącej, ostatnia książka składa się również ze znakomitych anegdot, małych opowieści o poszczególnych ludziach klanu. Jest w niej jednak ów punkt widzenia. Głównym bohaterem jest bystry, dociękliwy narrator, przedstawiający poszczególnie postacie już nie tylko z rodzinnego kręgu, ale czasów swojego dojrzenia. Obok matki, siostry czy szwagra, pojawia się dziewczyna, która przypomni pierwszą, nie spełnioną miłość, obok ciotki — nowi ludzie, towarzyszący samotniejącej z roku na rok matce.

Myślę, że nie jest łatwo napisać dobrą powieść o powrocie po latach do rodzinnego miasteczka. Wielu autorów ponosiło klęskę przy takiej właśnie próbie. Łatwo tu bowiem o schematy — zarosnięty ogród matki, nowe bloki w miejscu dawnych zabaw, niemożność odnalezienia ulu-

blonych kiedyś miejsc, obce twarze, dymy fabryczne w miejsce czystego nieba, zmarszczeni na czołach sympatni z młodzieńczych lat, mogili, coraz więcej mogił. Chrościelewskiemu powiódł się ów powrót do dzieciństwa i okresu dojrzenia nie tylko dzięki właściwościom dojrzałego pióra. Zapewne — znakomita polszczyzna, umiejętność budowania sytuacji, poszczególnych zdarzeń, anegdoty, odgrywa w książce niebagatelną rolę. Nie mniejszą jednak postawą autora wobec przeszłości, wobec kraju dziecińczych i młodzieńczych lat. Kiedy zajrzeć do dzbanka życia — wszystko w nim dojrzyć można — matczyną miłość, narastającą samotność, lepsze i gorsze lata w życiu członków klanu. Ale równocześnie czytelnik dowiaduje się prawdziwie o życiu intymnym, ściśle rodzinnym tajemnic, poznaje prawdę historyczną

— rozpad dawnego świata, powstawanie nowych zasad funkcjonowania klanu, opartych na realizowaniu zasad awansu, zdobywania ostróg w różnych, nieznanych dawniej w rodzinie, zawodach, specjalnościach. Chrościelewski pamięta dobrze dawne kwiaty, uliczki, senne wody, uroczyska, nie zapomina jednak o prawdach historii, rozwoju małego ongiś i sennego partycypularza. W jego dzbanku życia łączy się harmonijnie, współgra liryczna goryczka przemiania z świadomością czasu, który nieustannie odkłada do akt jedne wartości, powołując do życia nowe. Myślę, że ta właśnie postawa w rozrachunku z przeszłością podnosi wartość „Dzbanka życia” niezależnie od uroku prozy Chrościelewskiego, jej pogody, humoru i liryzmu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JERZY WILMAŃSKI

SPOTKANIE Z MAJAKOWSKIM



Okladka jednego z numerów „Nowego LEF-u” Foto: Archiwum

Włodzimierz Majakowski. Jest to nazwisko człowieka, który urodził się 7 lipca (według nowego stylu 19 lipca) 1893 roku w Gruzji, w osiedlu Bagdad jako syn leśniczego, Włodzimierza Konstantynowicza Majakowskiego, zastrzelił się 14 kwietnia 1930 roku o godzinie 9-tej rano, w swoim mieszkaniu w Zaulku Lubijskim w Moskwie, w wieku lat niespełna czterdziestu.

Włodzimierz Majakowski. Jest to także cała epoka poezji radzieckiej i symbol poezji rewolucyjnej.

Włodzimierz Majakowski. Egocentryczny i pewny siebie, a jednocześnie czuły i wrażliwy. Poeta, który wołał brnąć czynie:

„Ust nowych słowa,
jakże brzmicie
gdy widzę ryb
blaszanych grzbiet
A wy
czy nokturn potraficie
zagrać dmuchając w
rynien flet?”

Ale jednocześnie pytał z niepokojem:

„Czy słów mych zeszcile
liście
wstrzymają ciebie
dyszając głęboko?
Weź mą ostatnią
czulość
i drogę nią wyściel
swym odchodzącym
krokom”.

Szedłem na wystawę w Muzeum Sztuki z ciekawością — jakiego Majakowskiego tam zobaczę? Czy będzie to pomnik ze spiżu, zaklęty w zimny, nieruchomy brąz, czy będzie to obraz żywy, pulsujący gorącym rytmem jego wierszy?

O Majakowskim pisało mnóstwo ludzi. Potężny tom „Życie Majakowskiego”, będący sumą tych wspomnień, zawiera Indeks nazwisk liczący aż sze-

NOVЫЙ
лев

№ 2
МОСКВА
1927



Foto: Archiwum

снаście stron. Ilya Erenburg w swojej książce „Ludzie, lata, życie” pisze:

„Żywy Majakowski nie przypominał wcale posagu z brązu ani legendarnego herosa. Mając lat osiemnaście wstąpił do szkoły sztuk pięknych — chciał zostać malarzem. Zachował malarzkie widzenie świata także i w poezji: jego obrazy nie są wymyślone, lecz ujrane (...) Miałem sposobność czytać niektóre artykuły o Majakowskim, napisane za granicą; autorzy tych artykułów usiłują dowiedzieć, że poetę zgubiła rewolucja. Trudno o większą niedorzeczność — bez rewolucji nie byłoby Majakowskiego (...) Rewolucję od razu zrozumiał i przyjął. Budowa społeczeństwa socjalistycznego nie tylko pociągała go, lecz pochłonięła całkowicie. Nie miał w sobie ani krzty oportunisty i kiedy poniektórzy chcieli go oswoić, żeby jadał z ręki — warczał: „Frontem do wsi — rzuca hasło z góry — za głębie, wieszczu drog! Zrozumieć — ja front mam jeden z natury — i krećć nim jak wiatr kurkiem nie mogę...” (...) Nigdy nie miał konfliktu z rewolucją; jest to twór fantazji ludzi, którzy w walce z komunizmem nie gardzą żadnymi środkami. Dramat Majakowskiego nie tkwił w rozdźwięku między rewolucją a poezją, lecz w stosunku lefowców do sztuki”.

Majakowski — jak twierdzą ci, którzy go znali — był pełen romantyzmu, ale wstydził się tego romantyzmu. W głośnym artykule „Jak robić wiersze” (właśnie robić, a nie pisać czy tworzyć) wszystko wygląda logicznie i prosto. W rzeczywistości jednak Majakowski dobrze znał męki związane niezmiennie z twórczością. Przyjaciółom chętnie opowiadał o „rozbiciu zapasów rymów”, ale miał też inne „zapasy”, o których nie lubił mówić — zapasy cierpienia.

W ostatnim liście napisał: „Strzaskala się łódka miłości o

byt. I już kwita z życiem. Więc co nam po czczych wspominkach bólów i krzywd?”

Ale jednocześnie, nie rezygnując z ironii, napisał też: „Proszę, nie plotkujcie. Nieboszczyk ogromnie tego nie lubił (...) Wybaczenie — to nie sposób, ale nie mam wyjścia (...) Serio — nie się nie da zrobić”.

W rzeczywistości — to nie „łódka miłości” rozbiła się o byt, ale jego życie rozbiło się o poezję.

Taki był Majakowski — pryncypialny i pełen sprzeczności, wielkoduszny i małostkowy — prawdziwy człowiek i prawdziwy poeta, który całym sobą tkwił w burzliwym nurcie Rosji rewolucyjnej i Kraju Rad budującego specjalistyczne społeczeństwo.

Na spotkanie żywego Majakowskiego siedłem do sal łódzkiego Muzeum Sztuki. Żywego tak, jak żywa jest jego poezja — zarówno ta z roku 1912, jak i ta z roku 1917, czy wreszcie z roku 1930.

Przywitały mnie słowa:

„Aby tę wystawę
uczynić bogatszą,
trzeba tu przenieść
tramwaje
i
pociągi
pismem bojowych
zmagają
wypisane szturm
ochryple od krzyku
czastuszki
ploty, ściany
i sztandary
co szły pod Kreml
rozrzucając
żagwie
hasel?”

Oczywiście nie udało się przenieść do sal Muzeum Sztuki „tramwajów, plotów i ścian”, ale znalazły się tu oryginalne, autentyczne plakaty „ROSTA”, na szarym, pakowym papierze, ze słowami malowanymi tanią farbą przez kartonowy szablon. „Plakaty ROSTA” — od niewielkich, po ogromne, wysokie na dwa metry, szerokie na półtora... Są tu więc owe żartobliwe „Lepszych smoczków nie zna świat — sam bym ssal je do stu lat”, są owe slogany: „W warzywach i owocach wartości odżywcze”, plakaty reklamowe, produkcyjne, satyryczne.

„Okna ROSTA” to cała epoka w twórczości (a może raczej działalności) Majakowskiego. Wspomina Lila Brik jak w 1919 roku Majakowski zobaczył „Wystawę satyry ROSTA” i postanowił zrezygnować z liryki na rzecz rysunków i tekstów agitacyjnych. „ROSTA” znacząco: „Rosyjska Telegraficzna Agencja”.

Sam Majakowski pisze w swojej autobiografii: „Piszę i rysuję. Zrobiłem ze trzy tysiące plakatów i ze sześć tysięcy podpisów”. Plakaty wykonywano wówczas ręcznie, nie istniała wtedy cała skomplikowana technika poligraficzna. Jedynie do liter używano kartonowych szablonów — rysunki wykonywał Majakowski oraz plastycy: Czeremnych, Pet, Lila Brik...

Wspomina tamta robotę Wiktor Szklowski: „Majakowski pracował dniami i nocami i spał z polanem pod głową, żeby się łatwiej obudzić...” A sam Majakowski pisał: „Wystawy „ROSTA” — to coś fantastycznego. To obsługiwane przez garstkę malarzy, od ręki, sto pięćdziesięciomilionowego narodu. To wieści telegraficzne,



Włodzimierz Majakowski (1924)

Foto: Archiwum

momentalnie przerabiane na plakat, to dekrety, z miejsca rozpowszechniane jako czastuszki...”

Nie dziwnego, że poemat „150.000.000” powstał właśnie w czasie pracy Majakowskiego w „ROSTA”.

Część owej gigantycznej, propagandowej roboty wykonanej przez poetę w czasie półtorarocznej pracy w „ROSTA”, pokazano, chyba po raz pierwszy w Polsce, na wystawie w Muzeum Sztuki. Już tylko te plakaty stanowią o randze owej ekspozycji.

No i przede wszystkim książki. Ponad 60 egzemplarzy pierwszych wydań od litografowanej książeczki „Ja! Moskwa”, wydanej nakładem własnym poety w roku 1913, do dziesięciotomowego wydania GIZ-u w latach 1928—1930. Od fuurystycznego, programowego manifestu „Poszczecina obywatelom publicznosci” („Policzek powszechnemu smakowi”) — zbiorku z roku 1912, po egzemplarze „Nowego LEF-u” z lat 1927—1928, fotomontaże Rodcenki, projekty scenografii i rękopisy poety.

LEF — był to tytuł pisma i skrót nazwy grupy „Lewyj Front Iskusstw” (Lewicowy Front Sztuki), która działała w latach 1923—1930. Lefowcy, stojąc na gruncie eksperymentu formalnego (większość z nich wszak wywodziła się z szeregow rosyjskiego futurizmu), uważali jednak, że sztuka powinna rejestrować tylko fakty, bez dokonywania wyboru i oceny. To nastawienie na faktografię miało stworzyć literacką dokumentację dni przełomu rewolucyjnego. I co by dziś o

założeniach teoretycznych LEF nie sądzić — literatura owych lat taką dokumentację stworzyła.

Choć LEF wydał wyrok śmierci na sztukę, okazało się, że wyrzec się poezji nie było Majakowskiemu łatwo. W 1923 roku, kiedy jeszcze lefowcy negowali lirykę, napisał poemat „O tym”, poemat, którego nie zrozumieli nawet najbliżsi. Piśze Ilya Erenburg: „Bluzgali na niego jaדם zarówno sprzymierzeńcy jak i jego przeciwnicy literaccy, ale poeta wzbogacił tym poematem rosyjską poezję”.

I tak było z nim zawsze. Przewadził wciąż walkę, także walkę z samym sobą. Napisał: „Chcę być zrozumiany przez mój kraj, a jeśli nie będę zrozumiany — cóż, po kraju ojczystym przejdę bokiem jak ukosny deszcz...” I przekreślił te słowa, uznał je bowiem za zbyt sentymentalne.

Ale kraj ojczysty go zrozumiał — rozumiał też piękne słowa, które wykreślił...

Spotkanie z Włodzimierzem Majakowskim w salach Muzeum Sztuki jest spotkaniem wzruszającym i pięknym, zbliża nam bowiem do wciąż fascynującej osobowości. Słusznie napisał w katalogu wystawy Ryszard Stanisławski:

„Osobowość Majakowskiego stała się nieodłącznym elementem tej epoki — w intensywnym stopieniu w niepodzielność całości życia i sztuki, sztuki i rewolucji. Majakowski — liryk nie tylko poprzedzał Majakowskiego — rewolucjonistę, ale mu zawsze towarzyszył. Majakowski — mówiący o sobie samym, o swych najbardziej osobliwych przeżyciach, dopełniał się Majakowskim — wyraziłem mas”.



Okladka do poematu W. Majakowskiego „O tym”, z portretem Lili Brik, 1923

Foto: Archiwum

Włodzimierz Majakowski — życie i twórczość. Wystawa zorganizowana przez Ministerstwo Kultury ZSRR, Ministerstwo Kultury i Sztuki PRL, Państwowe Muzeum Literatury w Moskwie oraz Muzeum Sztuki w Łodzi. Ekspozycja na wystawie, scenariusz oraz podstawowe materiały katalogowe nadesłane zostały przez Państwowe Muzeum Literatury w Moskwie. Opracowanie polskiej wersji katalogu i wystawy: Ryszard Stanisławski i Janusz Zagrodzki. Tłumaczenia: Witold Parniewski i Wanda Radolińska. Wystawa czynna w salach Muzeum Sztuki w Łodzi w dniach 20 września — 23 października 1977 r.

pasje dnia powszedniego

**WOJCIECH
ADAMIECKI**

Ten stary Geyer wciąż żyje. To jest najbardziej zdumiewające. Gdy zapytają młodego: — Gdzie pracujesz? — U dziadka — odpowie. Dziewczyny jego współczesną nazwę „Eskim” pieszczołliwie zmieczą na „Eskimoski”. Imię Rewolucjonisty, które nosi doda mu powagi, ale nie odbierze rysów starości odpornych na każdą szminkę. Brudno-ceglane mury. W halach maszyny z datą 1897 i pasami transmisyjnymi jak w zabytkowym wiatrak, łomot i huk jak w powieściach Dickens'a spazmatycznym wykluwaniu się pierwszych w Europie ziem obiecanych, i maszyny z datą 1929 — wszystkie stokrotnie odnawiane i tysiącokrotnie smarowane, dygocące opętym pulsem przez ten czas wojen, rewolucji i krzyżosów, pożarów, zbrodni i głodów, przez całą krew i cały pot, które polaty się sówitum strumieniem wokół nich, obok nich, nie ludzkie w swej nieważkości i nadludzkie w swym trwaniu, ale przecież udręczone przy życiu, konserwowane i zabezpieczone przez te wszystkie lata jak najbardziej bezcenny skarb, jak złoto i diamenty w pancernych kłatach, jak życiodajne gwarantki codziennego losu.

Ten stary zakład wciąż żyje. Już zagarnęło go środowisko, zmalał przy żelbetonowych pułdach współczesnej architektury, otaczający go mur już go nie wyróżnia, lecz skrywa i chroni przed tętniącym życiem miasta, już oderwały się daleko od niego mieszkaniowe osiedla, w których coraz liczniej zaczynają mieszkać pracujący w nim ludzie — bo kiedyś ogromna ich część pochodziła z najbliższej zakładowej dzielnicy Łódź Górna, czyli z Górnika szarego szarobliwego proletariatu, dymów i smrodu, którym zresztą do dzisiaj pluje stary Geyer na tracącą już koło niego swój kamienniczno-secesyjny styl ulicę Piotrkowską.

Żyje więc, a już piętnaście lat mówi się załozde, że niebawem wysadzi się go dynamitem. Tak powiadał poprzedni dyrektor i to samo mówił obecny dyrektor. Na przekór tym przypuszczeniom, zamiarom, logicznych triumfujących sztucznych satelitemi — wciąż starego się lata, podkleja, reperuje, a nawet poprawia, uzupełnia, unowocześnia, do czasu gdy staną pod miastem nowe mury nowej fabryki, w nich palmy, fontanny i wszystkie rozkosze marzeń o nowocześnieści. — W tym roku modernizujemy się za dwieście milionów — powiada dyrektor — za dwadzieścia pięć milionów robimy klimatyzację w tkalni elektrycznej, przędzalni, w sumie to będzie coś... Byłe już.

Raz w miesiącu w dyrektorówskim gabinecie odbywają się spotkania z pracownikami, którzy odchodzą na emeryturę i z tymi, którzy obchodzą jubileusze: 25, 35, 45 i 50 lat pracy w tym zakładzie. Jest kawa, koniaczek, uśmiecha się sam główny kasjer pomimo, że wypłaca premie, no, nie są to złote zegarki, które niegdyś dawał Geyer, ale zawsze parę groszy. Główny kasjer niedługo sam zasiądzie w tym pokoju jako honorowy gość — pracuje w tych murach już lat 41. — Co wy w tej szafie trzymacie? — zapytał go kiedyś dyrektor wskazując na jakiś zakamarek w ogromnym sejfie. W zakamarku leżała szara koperta. W kopercie plik dokumentów: bilanse firmy „Ludwik Geyer, carskie akcje, rachunki, listy urzędowe i podania do Jaśniejszego Ekscelencji Wielmożnego Pana Dyrektora z uniżoną prośbą o

pracę. W tej chwili setki ludzi do roboty w zakładach brakuje i towarzyszy dyrektor na szyję rzuciłby się każdemu kto by mu powiedział: masz tu tych stu.

Wszystko w zakładzie obrosnięte śladami dawnych lat jak stare drzewo mechem.

W dyżurkach mistrzów na wydziałach wiekowe zegary gayerowskie z mechanizmami do odbijania kart pracy.

W pokoju inż. Kamasy komplecik mebli gabinetowych — czarnych, z 34 roku, przy których pracował główny inżynier Michelis jeszcze przed wojną i on to kazał skośnie nachylić blat biurka.

Resztki napędu parowego, któremu pęka 105 lat.

Po przeciwnej stronie ulicy zżerane liszajami czasu mury Muzeum Włókiennictwa, które też były fabryką jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Najwięcej tych śladów w pamięci.

Wielkim wspomnieniem pana Juliana jest jego ojciec. Należał do tych, którzy zrobili rewolucję roku 1905 jeszcze w Piotrogradzie carskim, i z tamtego roku wywiódł się tak głębokie poczucie wspólnoty uczestników, że już w latach 30-tych, gdy Julek raz w tygodniu prowadził ojca do Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych — słuchał tam o powieści o wydarzeniach z okresu barykad, o tym jak gadał, kto mógł wtedy sypanąć tak, że ich aresztowano. Więc nie zdziwiono, że Julek urywał się ze szkoły i mają, siedząc na pochód, był jednym z tysięcy na jezdni ulicy Piotrkowskiej, uskakiwał przed motocyklami endekimmi gwałtownie wyjeżdżającymi z bram prosto w ludzi, i na następny dzień miał o czym w szkole opowiadać. Gdy mówi o tym teraz, siedząc z swoim muzealnym biurkiem kustosa, jest to przywołanie pamięci o ludziach odważnych, o tych działaczach, którzy nie mieli okazji stężyć w pracy urzędniczej, lecz codziennie musieli potwierdzić swoje walory, o tych na większą lub mniejszą miarę Fidełach Castro dawnych lat, jak choćby Głazewski, ten Głazewski, który wezwany do zakładu gdzie zastrajkowała załoga w późnych latach czterdziestych, nie skorzystał z propozycji wejścia bocznymi drzwiami, chyłkiem, lecz powiedział: — Przejdźcie przez cały zakład, między stanowiskami pracy i będziemy rozmawiać, pierwszy pójdę ja, dyrektor z mną, związki zawodowe na trzeciego. I tak szedł, partrzał ludziom w oczy, a oni tego oczekiwali, uczciwych słów, usłyszeli je i zaczęli pracować.

Robert Geyer, ostatni przedwojenny dyrektor kapitalistyczny, pierwszą rzeczą jaką zrobił na wieść o wybuchu wojny było wypłacenie pensji pracownikom, i dobrze, że zdażył to uczynić, bo wkrótce zastrzelony został w swoim pałacyku przez gestapo, za to — jak mówią ludzie — iż odmówił podpisania volkslisty. Zeby historia była barwniejsza, jego krewny Gustaw w 1945 był w tej fabryce pełnomocnikiem ludowego ministra. Stało się to możliwe po procesie rehabilitacyjnym w tym samym roku zwycięstwa 45. Na tym procesie taki toczył się dialog między sędą i świadkiem: — Czy świadek był w domu u Gustawa Geyera? — A bo to raz, proszę Wysokiego Sądu? — Czy w domu tym wisiał portret Hitlera? — Gdyby u Geyera wisiał gdzieś Hitler, to tylko w ubikacji.

Pierwszym powojennym dyrektorem był Bronisław Radzi-

kowski z PPR, i w tym samym gabinecie gdzie urzęduje dzisiejszy dyrektor Wojciechowski siedzieli obok siebie Radzikowski i Geyer. Nie trwało to długo, tylko dla jednego z nich było tam miejsce. Niebawem Radzikowski zebrał załogę, służby biurowe i techniczne i powiadził mniej więcej tak: — Wiecie, chłopaki, ja na tym stoiku doświadczenia żadnego nie mam, jestem taki jak wy, jeździłem wózkiem na przedziałni u Scheiblera, więc wy róbcie tak, żeby było dobrze, a ja będę od reprezentacji.

No tak, stary zakład więc żyje. Gdy zapytałem mistrza Leszka Pięstrzyńskiego dlaczego wciąż tu pracuje, odpowiedział, że chyba z przyzwyczajenia, no i odwagi trochę brak żeby pójść gdzie indziej, tak jakby człowiek przyrosł, do tego miejsca na ziemi, bo i ojciec i dziadek... Może te mury też żyją z przyzwyczajenia, z rozpędu, z uporu i, co tu dużo gadać, z konieczności i sentymentu ludzi?

Mistrz Leszek chodził powoli, mówi powoli. Każdy człowiek jest na swój sposób niepowtarzalny, ale on robi wrażenie jakby był tylko jednym z dziesiątków tysięcy, ani lepszy ani gorszy, ani bardziej ani mniej piękny. Są ludzie, którzy wygładzą tak jakby byli całkowicie dostosowani do otoczenia, niby zwierzęta przystające do odleń środowiska, w którym żyją. Taki jest Leszek. Spojrząz na niego i rozumiesz: oto człowiek, który wie, iż na co dzień nie ma święta.

Na co dzień jest moje gospodarstwo — powiada — oddział przygotowawczy tkalni.

Cztery snowada. Przy nich głównie kobiety. Brakuje ludzi na pomocniczą, więc dwie snowaczki pracują bez pomocy, jedna z pomocą, a jedno snowadło służy jako rezerwa. Plus jedna przewłajarka przędzy, Lew, stopiek na krzyżówkę, czyli mniejszych motków przędzy na większe. Dużo zależy od tego czy przędza jest dobrze przygotowana do tkania. W tkalni mówią tak: — Jak tkacz się nie zrobił to zrobił, a jak się nie zrobił to nie zrobił. Mają na myśli to, że źle przygotowaną przędzę trzeba ciągle wiazzać a to kosztuje czas, wtedy warsztat tkacki nie pracuje.

Kobieta przygotowuje motki i nitki, z których powstanie osnowa dla tkaczek. Polega to na przewleczaniu i związaniu kilku tysięcy nitki — gdy maszyna ruszy będzie spływały białą, równą falą na bębny i stanowiąc osnowę. Kilka tysięcy nitki i kilkanaście tysięcy ruchów. Och, nie, nie chciałaby żeby jej córka robiła to co ona. Nigdy też nie przebaczył ojcu, który uważał, że te 10 palców do życia jej wystarczą. Daje sobie radę, oczywiście, chociaż maż od niej odszedł niedawno, ale teraz rodzina jest, proszę pana, przy mnie, jak nigdy.

Wysiadła para, więc może być zawałona sprawa na klejarni. — Co z tą parą? — pyta przez telefon Leszek, ale jeszcze się nie denerwuje. — Nie wiesz pan? Więc mam zadzwonić do głównego energetyka? To jest poważne, do jasnej... trzeba było uprzedzić.

Transport, to jest, mistrzu, nieuleczalna pięta Achillesa, znowu samochod nie wyładowano od dwóch godzin, jak cały dzień pojeżdże to i tak, mistrzu rękę nie czuję, wciąż nie ma elektrycznych podnośników do wałów, ciągnij to człowieku, te czteryście kilogramów, ręce moż na pozywać, żona chce iść do parku a ja się kładę w domu spać ty, Zenek, już nie jesteś chłop — mówi mi żona, a teraz jak mi trzasnął mistrz po premii...

Strasznie potrafi się Zenek denerwować, ocieka potem, u-

spokaja się po trzeciej butelce wody sodowej, gdy wchodzi dziewczęta z biura jest już słońdziku uśmiechnięty i werbuje je na swoją działkę do zrywania truskawek. Premię potrącił mu nie mistrz a rachuba, a właściwie BHP. Mistrz niedawno zwrócił tylko Zenkowi uwagę, że tego dnia chyba rano nie pił mleka a coś zupełnie innego, — co? ja? — oburzył się Zenek — chodźmy do behapowca, niech sprawdzi, już! — behapowiec sprawdził i premia musiała polecieć.

Co jeszcze? Rano Leszek sprawdza obecność, każdemu daje dyspozycje na cały dzień, to już jest wyliczone wcześniej według planów kwartalnych i miesięcznych, reperacje biezące albo robi sam albo zgłasza do ślusarza, znowu pewnie przyjdzie któraś z kobiet, żeby dać jej dzień urlopu, bo albo ma sprawę w sądzie, albo dziecko wraca z kolonii i nie ma kto odebrać malucha na dworec bo teściowa całkiem nieużyta — ja bym tam wyszedł po wnuczka — panie majster, jak ja bym miała takiego teścia jak pan... — nadrobi pani te osnowę? Plan napięty. — W dwa dni nadrobię, panie majster złościutki!

I tak przez tydzień, miesiąc, rok i lat szesnastie, bo tyle już czasu pracuje Leszek na oddziale przygotowawczym.

Czasem wpadnie do niego majster Mamrot z tkalni, który lubi pochodzić tu i tam. W głowie ma on całe swoje życie oraz statystykę. Ta statystyka dotyczy krosien, które uruchamiał w najróżniejszych miejscach. W czterdziestym szóstym pojechał z taką grupą wskrzecielską do Bielawy. Tam wyciągali pochowane przez Niemców krosna z szop, suterenn, cegielni, wszystkie nasmarowane, razem było ich coś ze sto. Wrócił do Łodzi. Po trzech miesiącach posłali go do zakładów na wodną — należało uruchomić 259 krosien z fabryki Wifama i Dzierżoniów. Potem — na Targowię do dzisiejszych Obrońców Pokoju — 550 krosien. Zaczęły chodzić, a jakże. W czterdziestym dziewiątym należało pojechać do Kudowy — tam czekało na uruchomienie niemal 300 krosien. Stamtąd do zakładów Dubois — też na uruchomienie. Jak przeszedł przez specjalny staż remontowy, został już całkowicie dyplomowanym cudotwórcą od krosien, i gdzie która inny nie mógł, tam Mamrota posyłał. Życie cudotwórcy nie jest łatwe, więc też słyszał od czasu do czasu: — Towarzyszu, my wam nie zapomnimy, nie! Słyszał to i słyszał i jeździł. Aj, najlepiej było jak zaraz po wojnie dawali w zakładach 2 kg rabanki na osobę na 2 tygodnie. Człowiek wszystkiego nie zjadł, można było sprzedać za bramą.

Dzisiaj przyszedł pan Chmielewski, który jest tu kierownikiem, ale aktualnie go właściwie nie ma, bo już jest na urlopie, a po urlopie go nie będzie bo idzie na emeryturę. Być może powinien się cieszyć, że będzie miał w wszystko z głowy, wystarczy jednak spojrzeć na niego żeby zrozumieć, iż wcale się nie cieszy. Uważa, że w takiej robocie gdzie po jednej stronie są ludzie i maszyny, stukot i hałas i kurz, a po drugiej, no, niby to ta sama strona, ale zawsze... więc po drugiej stronie nadrzędne potrzeby produkcji i dyrekcja, więc w takiej sytuacji przede wszystkim należy być dobrym strategiem, nie ciągnąć za bardzo w żadną stronę, przy tym dbać o ludzi konkretnie, z tym, że szarpać się o byle co też nie należy. Jego zdaniem — i Leszek ten pogląd jak najbardziej popiera — najszybciej dojdzie się do porozumienia z tymi ludźmi co pamiętają jeszcze sanacje i okupację. Swoją wiedzę i doświadczenie mają. Młodemu trzeba się przyglądać, na ogół są wygodni, choć nie wszyscy. W życiu były różne punkty, które człowiek pamięta. Za II wojny pan Chmielewski zbierał z matką na polu szcaw, żeby coś jeść. Po szkole zawodowej w Łodzi nie dostał pracy, więc zatrudnił się w Ozorkowie, tam był PPS do samej wojny i tam był strajk, znany strajk, przez ten strajk nie dostał wyższego stopnia w podchorążówce, choć skończył ją z 20 lokatą, 18 stycznia 1945 Niemcy go z łapanki wywieźli, ale uciekł im koło Kłodzka. Parę centymetrów od leja bom-

bowego też się człowiek znajdował. I teraz pan Chmielewski na chwilę przed emeryturą wie już na pewno: — Chodzi o to, żeby nie tańczyć jak zagrabają, a co do życia? Życie jest życiem, trzeba wiedzieć jak do niego podejść.

Ledwo Chmielewski wszedł do dyżurki, inżynier O, tak-townie powiedział, że musi coś załatwić na wydziale i zniknął. Ten inżynier, strasznie młody w tych ścianach i wśród tych ludzi, jeszcze trochę pucołowaty, ma 26 lat i już jest prawie pewnie, że za miesiąc zastąpi Chmielewskiego na kierowniczym stołku. Leszek, który siedzi z nim biurko w biurko, no, nie to żeby nie lubił inżyniera, jest jak najdalej od tego, ale jeszcze nie wie dokładnie co o nim myśleć, niby jest on w najzupełniejszym porządku, ale trochę przyjrzyć by mu się trzeba. Taką ma bazię świeżą i włoski blond. Leszka trochę kłuje w sercu jak na niego spojrzysz, bo jego własny syn zbiesił się i ledwo wrócił z wojska postanowił się ożenić. I zrobił to. Tyle, że musi mieszkać u żony, czego on, Leszek nigdy by nie zrobił, nigdy by się nie ożenił gdyby nie miał dla własnej żony kawałka własnej podłogi. Inżynier jest w porządku, choć trochę człowiekiem głupio, że będzie miał takiego młodego szefa co by mógł być synem. Ten inżynier już wyższą techniką się zajmuję. Uciekł tu, na wydział, bo mu praca biurowa nie odpowiadała, lubi pracować przy tym co szybko powstaje i co widać. A tak naprawdę interesuje go metrologia, metody pomiaru. No i nowe maszyny, że angielskie Hilberty. Ten inżynier przynajmniej wie czego chce, nie jest taki jak chłopaczek, który rano tu przyszedł i na każdą robotę, kręcił głową z długimi kędziurami, aż go musieli zabrać. W każdym razie inżynier jest z innego świata, podczas gdy on, Leszek jest z najbliższej okolicy, z Górniaka, z ulicy Krakusa, od której tak trudno było mu się oderwać.

Podobnie jak dziadek i babcia — rodzice Leszka. Też ta dzielnica, fabrycznych osiedli była dla nich domem. Droga ich życia, w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa, stała się ulica Pabianicka, ta która zaczyna się zaraz przy rodzicie za dawnym fabrykankim parkiem geyerowskim i prowadzi jak szlak pielgrzymek z pracy i do pracy aż do Pabianic.

Pojechaliśmy tam z Leszkiem i jego żoną. Nowe osiedle, nowe mieszkanie na parterze. Dziadek przywołany został z sklepu, gdzie stał w kolejce, bo babcia ma kłopoty z nogami. Krzepki jest jeszcze, babcia gorzej, ale się trzyma.

Dziadek — Tu się rodzilem, w Pabianicach, dnia siedemnaście, dziesiątego miesiąca, roku 1905. Jako chłopak pracowałem za ręcznym krosnem, ojciec miał warsztat. W domku małym, muryowanym mieszkał na ulicy Bugaj. Zeszłego roku ten domek został rozwalony i musiałem wplacić na to mieszkanie. Sześć osób w domu, pewnie, że nie przelewało się... ojciec brał robotę, nie wypłacali mu, ee... U Geyera robiłem od 37, a przedtem sezonowo w różnych firmach, tu parę miesięcy, tam trudno było.

Mój teść też na tkalni pracował.

Babcia! — Teść to jest on, dziadek Hetmanek, ten na ścianie na dużym portrecie nad kwiatami, one są sztuczne, ale patrz się jak na prawdziwe, prawda? Robotnik, tkacz. Było nas czworo. Niezależnie dom na Górniaku. Brat i siostra, wie pani, mają wykształcenie wyższe, siostra jest historykiem, brat przed wojną skończył jakieś studia, nie pamiętam czego on się tam uczył, mieszkał w Warszawie, ale jeszcześmy 'ch nie odwiedzali, no, nie składało się, a ja nie byłem kształcony... Mój ojciec Hetmanek pracował od czternastego roku życia, na dwie zmiany, wychodziło po szesnastu godzin, żeby na dziele starczyło, jeszcze w szkole powszechnie powiedział mu nauczyciel; panie Hetmanek, szkoda dzieci do tej fabryki, niech uczą się dalej!

Dziadek: — Gdzie podróżowałem? Do Berlina w 44, na roboty. Tam stawiłem baraki, nawet ranny byłem jak bomba ryła, a miałem numer 302. Modliłem się żeby tylko przetrwać, niech będzie drewniana walizka, przeżyła, była w domu się znaleźć. No i nie kłaniać się byle komu. Mieliliśmy w Łodzi za okupacji krwawą niedzielę.

Kto na ulicy powiedział pierwszy „dzień dobry” Niemcowi, tego bill strasznie. Szedł ojciec z moim bratem. Zobaczyli Niemców. — Aaa, nie będziemy się kłaniać — powiedział ojciec. Wtedy ci dwaj Niemcy tak się na ojca zęczyli, że bratu dali spokój. Jak miałem dwadzieścia lat ojciec mnie za warsztatem tkackim posadził.

Babcia: — Żeby to nawet było dziś, nigdy bym nie poszła na tkalnie, tam chyba jest spłotka z diabłem. Jezus, już byłam na emeryturze, przecież do tkalni powinienam przywyknąć, dość się u Geyera narobiłam, a kiedy przesyłam raz przez tkalnie byłam całą roztrzęsiona. Jak miałam siedemnaście lat poszłam na tkalnie, a rozczenstwo studiowało...

Dziadek: — To jest nienormalne, my za dużo przeszli. Jedna wojna, druga... Raz trzydzieści kilogramów żyta niostem ze wsi do miasta jeszcze w 14 roku jak miałem 9 lat. Po drugiej wojnie trzeba było wszystko organizować od nowa, tu jedzenie, tam coś innego, a dziś młodzież usiadła do gotowego.

Babcia: — Człowiek żyje się ze wszystkim. Czasem jak leciałam do zakładu to śpiewałam, a jeszcze później jak na czyszczałni pracowałam! Od 50 roku już nie pracuję, jak ja to przeżywałam, a nie powinnam, bo mogłam jeszcze gorzej choroby dostać, już myślałam, że dla mnie życia nie ma. Teraz mnie się zdaje, że w domu jest najlepiej.

Dziadek: — Pojechać gdzieś, e, nie, po co, mnie ten Berlin wystarczy, nawet nie chce mi się pójść do jednej wdowy co mnie chce zapoznać, a ma dwa domy.

Babcia: — Pyta pan jaka była moja największa radość i smutek? Radość... radość? Radość... to nie wiem, a smutek... było dość. Niech pan zobaczy te książki, w tekturowej okładce, pływają jej, pamiątkowa, dziadek Hetmanek kupił, to jest takie pismo ilustrowane, z roku 28, niech pan patrzy, tu wszystko jest o Łodzi, kultura i gospodarka, a tu niech pan patrzy, portrety tych ludzi co założyli w Łodzi przemysł włókienniczy, o, tu, na samej gorze, jest napisane: Ludwik Geyer założył zakładów w 1829 roku. Oszczędzamy tę książkę bardzo, bo to jest interesowna książka, trzeba ją chować do komody. Jak pan mówi? Czy mi nie było żal, że tak całe życie... Inaczej nie było. Chyba nie mogło być.

Jeżeli inaczej nie mogło być, nie do uniknięcia była i tamta ulica, która dawno temu zaczęła umierać.

Ludzie różnie dzielą swoje życie ponieważ rozmaite czynności mają na nie wpływ. Mówią: przed wojną — po wojnie, przed chorobą — po chorobie, przed podróżą — po podróży.

Leszek, opowiadając o sobie i Lucynie, swojej żonie, kilka razy powiedział: „to było za czasów Krakusa” lub „to było później, po Krakusie”.

Poszedłem zobaczyć ulicę Krakusa, Ścieśle — dom, który przy niej stoi i ma numer 14.

Dom przy ulicy Krakusa są bliźniaczko podobne, gdy spojrzeć wzdłuż ściany jednego z nich widzi się jednolity, czernono-brunatny mur forteczny lub więzienny, który jest lustrianym odbiciem identycznego muru po przeciwnej stronie jezdni.

Teraz jest lato. Drzewa na ulicy Krakusa są zielone. Przy tej nieokreślonej zieleni domy na tej ulicy umierają jeszcze bardziej.

Te atmosferę końca życia lub końca świata trudno opisać. Przecież wszystkie te domy są zamieszkane, z nadatkiem. Po ciemnych choć szerokiach schodach i korytarzach pięter chodzą lokatorzy. Pachnie stęchlizną. W oknach zatłoczonych, jednopomieszczeniowych mieszkań — firanki, kwiaty. Dwaj chłopcy wyprowadzają z opustoszałego podwórka lśniącej rowery. Przy tym wszystkim panuje tu beczuch. Zupelna cisza.

Numer 14. Brama i podwórko. Na drewnianym obramowaniu żelaznej pompy siedzi chudy, siwy człowiek. Wyrwa się z zagapienia.

— Pięstrzyński? Mieszkał tu, na parterze. Ja tu mieszkam 17 lat, a są tacy co jeszcze sprzed wojny. Za Pięstrzyńskiego brało się z pompy, a jak zabrakło to wozili beczkowitzami. Teraz jest i woda i nawet kanalizacja... Ale pod ten dom tylko dynamit podłodzić i wysadzić. Mieszkałobyśmy w sześć osób w jednym pokoju, ale jedna pani zmarła i syn z żoną dostali po niej pokój jako mieszkanie zastępcze. Ja na poddaszu. Wyremontowałem.

REPORTAŻ

No, można mieszkać. Jedną babcia wyniosła się gdzieś do bloków, zostawiła wnuczkę, 19 lat, sam rośnie, nikt się nim nie interesuje, pisaliśmy do różnych władz, „sprawa w toku załatwienia” i tak już rok czasu... On nie płać za światło więc zdjęli mu licznik, wtedy podłączył się do pionu, zrobiłem krzyk, no bo jak, on pójdzie na ulicę bo i tak mu wszystko jedno, a ja będę się palił! Dół, dół, zawala. Tu sami renciści, głównie z włókiennictwa. Jeszcze 10 lat temu wiślały naftowy korytarz. Ta brama wyjęta z zawiasów, tam, pod płotem leży już osiem lat, od remontu. Pani R. wyprowadziła się do bloków, wynajęła dzikiemu lokatorowi i bierze za darmo 500 zł miesięcznie a ja na strychu mieszkałem. Załatwiałem to, pewnie, ale jeszcze musiałem się tłumaczyć, że mieszkałem na strychu i wreszcie sentencja przyszła w mojej sprawie: „nie winiony”.

W najpiękniejszych latach życia dziadka i babcia ulica Krakusa była młodsza choć nie była i piękniejsza. Teraz dogorywa, schowana za zielenią drzew jak umierający za parawanem. Nikomu na niej nie zależy. Niedaleko niej postawiono duży, nowoczesny szpital. Tym bardziej stała się drzazgą, o której niezręcznie mówić. Ulica Krakusa będzie zburzona.

Na ulicy Krakusa Leszek mieszkał od roku swego urodzenia 1929 do roku 1961, gdy z Lucyną i dwójkiem dziećmi dostali nowe mieszkanie. 32 lata. Lucyna nie zapomni dnia, w którym odbywało się losowanie numerów mieszkań. W nowym osiedlu wylosowali mieszkanie nr 54.

Córka Piestrzyńskich, Bożena, mówi cicho, ale to nie odbiera jej głosowi stanowczości:

— W tych zakładach pracowałem przesiadając, dziadek, teraz ojciec i mama. Ja tak nie chciałem... nie chciałem. Nie mam przecież obowiązku, prawda? Dziadek przez 40 lat czy ileś dojeżdżał z Pabianic do Łodzi. Czasem rodzice wysyłali mnie do dziadków na kilka dni, dziadek tak wcześniej wstawał, tak długo nie wracał, a ja zawsze tak strasznie na niego czekałem. To było naturalne, że poszłam do liceum, skąd rodzice mogli się sprzeciwić, kiedy dostawałem się na studia cieszyli się chyba jeszcze bardziej ode mnie. Wybrałam chemię. Były dwie osoby na jedno miejsce. Strasznie byłam dumna jak została studentką. Mama przeżywała ze mną każdy egzamin. A dziadek, babcia? Ich życie — nie wiem jak to nazwać — było takie nieruchome. Dlaczego? — pytałam to siebie, nie ich. Może kiedyś też będą przychodziła taka zmęczona z pracy i od razu pociągła się spać jak wszyscy w domu. Albo powiem tak jak jeden starszy robotnik, że do kina najchętniej idzie po powrocie z sanatorium, bo wtedy jest naprawdę wypoczęty. Zawsze mówię rodzicom, że urlop w domu to nie jest urlop. Zresztą wyjeżdżał, jak tata był zdrowy, do naszego zakładowego ośrodka pod namioty.

Wiem, że gdybym nie studiowała pewno miałabym teraz troje dzieci i chyba byłabym u Geyera... Z tą chemią śmiesznie się złożyło. Kiedyś z chemii dostawałam tróje na okres. Popłakałam się. Uważałam, że to było niesprawiedliwe. Zależało mi na chemii. Nie wiem dlaczego ta nauczycielka to zrobiła. „No to ja ci pokażę” — pomyślałam sobie. Chciałam też zostać nauczycielką, taką sprawiedliwą. Nie z powodu tego stopnia. Teraz mam kłopoty, nie jestem taką znów młodą, mam 24 lata. W tym roku skończyłam studia. Tak, pięćdziesiąt. Na razie z pracą nie jest dobrze, powiedzieli nam, że w tej chwili są tylko etaty ekspedientek w sklepach chemicznych, więc trochę się denerwuję, człowiek już powinien się usamodzielniać... Ach, byłam niedawno w kinie, ten współczesny film podobał mi się, nie uważam żeby było w nim coś dla mnie niezrozumiałego, fajna jest w nim bohaterka, taka postawa, żeby walczyć o sprawiedliwość, podobna mi się, akceptuję ją. O taką rzecz warto walczyć, i warto też mieć bliskiego, przyjaciela, niekoniecznie w sensie lóżkowym, tylko po prostu przyjaciela. Z

tego właśnie powodu chciałam być sprawiedliwą nauczycielką... Rozmawiałam o tym kiedyś z znajomym, zapytał co wobec tego uważasz za niesprawiedliwość, zdziwiłam się, że o to pyta i powiedziałam: — Dlaczego pytasz, czy dla ciebie to nic nie znaczy?

Teraz przytępiłam się na chwilę w Instytucie Chemii Fizycznej. Jako wolontariuszka. Może tam uda mi się zahaczyć. Pracę magisterską napisałam z kalymetrii, i w Instytucie współpracuję przy eksperymentach z tej dziedziny. Takie eksperymenty charakteryzują się dużą zmiennością wyników, trzeba ich robić strasznie dużo, żeby się potwierdziły, a pani profesor czeka na te wyniki bo wyjeżdża na konferencję do Paryża i chce mieć ze sobą cały materiał. Może jutro mi się uda, bo dzisiaj znów mi nie wyszło.

Oboje, Leszek i Lucyna, mieli ten sam świat dzieciństwa — kładki przedmieścia. Dla obojga dwanaście metrów kwadratowych na ulicy Krakusa, z dwójkiem dzieci, z wodą kupaowaną z beczkowszczyzny po sześć groszy za wiadro, ledwo pelgające światło na schodach i nad chodnikami — to był punkt odbicia dla wielkiej pragnień, punkt startu, od którego oboje mierzą swój sukces robotniczych dzieci. I w jednokrotnej mierze dla obojga M-4 w nowej dzielnicy mieszkaniowej stało się miarą tego sukcesu, a przeżycia przy kupowaniu nowych mebli były najwspanialsze z im znanych, i zapamiętali je na zawsze.

Ledwo się umeblowali, zaczęli uczyć się w technikum. On — z tym zamiarem żeby koniecznie skończyć, ona — a już się zda.

Lucyna: — No i w ten sposób cała nasza czwórka uczyła się. Ciężkie to były lata. Trzeba było wręcz się każdej soboty, niedzieli. Braliśmy dodatkowe lekcje. Praca — dom — szkoła... każda kobieta rozumie jaką to młynek.

Leszek: — W 85 roku otrzymałem dyplom technika technologa tkackiego. Żona — dyplom ekonomisty.

Lucyna: — W naszym domu zrobiło się poruszenie. Tata idzie dzisiaj po świadectwo! Przy okazji w naszej szkole była impreza troszkę artystyczna... Potem zrobiliśmy sobie z mężem takie przywytne święta: poszliśmy na lampkę wina i kawę. W domu czeka na nas syn, wola do Leszka: — Mata, pokaż to świadectwo! — Taz, — i tyle nieprzespanych nocy za taki mały kawałek papieru!

Główne pytanie w naszych rozmowach było takie: co w swoim życiu uważacie za ważne? No i właśnie już pod koniec tych rozmów Leszek nieoczekiwanie powiedział o czymś, co przełamało między nami atmosferę doświadczenia spotkania.

— Nie ma życia wyłącznie na różow, prawda? Wiele ja panu powiem tak. Nycam największym smutkiem było... tak, była śmierć naszego pierwszego dziecka... Jakoś przeżyliśmy to. Potem urodziła się Bożena. Potem żona chodziła w ciąży z Jarkiem, i tę właśnie ciążę chcieliśmy przerwać, uwataliśmy, że w tych warunkach jedno dziecko wystarczy. Kategorycznie zaprotestował przeciwko temu dziadek. Nie tak dawno temu, rok-półtora, ojciec wygądał się za ten temat. Powiedział do Jarka: — Ty nawet nie wiesz, że dzięki mi nie chodzisz po świecie... Wyczuwam, że z tego powodu syn ma do mnie jakiś żal, o takim zamiar, wie pan.

Nie tak dawno była jeszcze jedna przykra sprawa. Z moją chorobą. Nagle zaczęłam czuć się źle. Szpital. Ten nowy, niedaleko ulicy Krakusa. Podejrzewaliśmy nowotwór w nerce. Adiunkt dawał szansę 50 na 50. To nie był nowotwór, ale na początku nie powiedział mi jaka to była choroba. Operacja — usunięcie nerki. Myślałem, że z tego nie wyjdę i żal mi się zrobiło tego całego darcia się w życiu. Ja to mówię, żeby pan wiedział dlaczego nie wyglądam całkiem zdrowo.

Lucyna: — Jemu nawet nie mówili lekarze, że ma być wycięta nerka. On się po prostu bał operacji. Na wigilię byliśmy wtedy w szpitalu, w sylwestrowy wieczór go wypisywali. Ta choroba, ale nie nowotwór, mogła zaatakować drugą nerkę. Lekarz miał nie mówić na razie mężowi. Przychodzę rano po Leszka, żeby go zabrać do domu, patrzę, a maż — inny człowiek. Leży, nie odzywa się. Już się domyślał co się stało. Jezus, jak zakląłam na sali. Powiedział mi wszystko. Poleciałam do le-

karza. Przypuszczam, że do dzisiaj mnie pamięta.

Leszek: — Czas to jest lekarstwo. Gdybym wciąż myślał, że jestem inwalidą, to bym poszedł na rentę, ale w domu tylko bym myślał o chorobie. Potem złapała mnie żółtaczka — każda, kłopoty z nogami. — Niech się pan nie przejmuj — powiedział lekarz — spróbujemy żyć? A ja odpowiedziałem: — Spróbujemy, panie doktorze. No i na razie dobrze idzie. Dzisiaj wybieramy się z żoną do teatru muzycznego. Dostaliśmy bilety przez zakład. Idzie nam jakos. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, tak do zakładu jak do żony.

Zegnam się z nimi przy wejściu do domu towarowego, niedaleko zakładów. Wszystko w ich życiu krąży wokół tego zakładu jak elektrony wokół jądra. Lucyna też pracuje w Eskimosiku. Wspólnie zamierzają coś kupić, znikają w tłumie w wejściowych drzwiach.

Ten stary Geyer wciąż żyje. Tam, w głębi po lewej stronie głównego dziedzińca, w ciemnym kancorku budynku tkalni siedzi inżynier Krystianczuk. W czasie studiów na politechnice tylko dwa razy zdarzyło mu się wjechać krosno. Tu miał współpracować z ludźmi, którzy włączali krosno sto tysięcy razy. Więc patrzyli, czekali, jak on sobie da radę. Przez pół roku chodził w kombinie, który wyglądał jak wysmarowany smalcem — leżał pod krosnami jak pod pułającym się samochodem. Zaakceptowali go, zblżyli się do niego bo umiał pracować razem z nimi. Postępowanie z ludźmi stało się dla niego jedyną z najważniejszych dążeń świadcezeń. Gdy mówi: coś z tą sytuacją powinno się stać, trzeba albo wybudować nowy zakład albo ten kompletnie zmodyfikować — jest sposób myślenia, który polega na tym, żeby nie poddawać się sytuacji zastanej lub narzuconej przez okoliczności. Nie ma w nim przekonanania o świętej zmienności tego co nas otacza.

Przed tkalnią stoi budynek energetyki. Rządzi w nim inżynier Kamasa. To on każe zmodernizować biurko Michelisa i wyprostować jego blat. Kamasa trafia tu na okresy przy zakłady ze stanu ubóstwa technicznego wchodził w okres modernizacji. W 1988 zlikwidowano kotłownię. W 1986-70 rozbudowano urządzenia ciepłowno-wodne. Teraz odbywa się kompletna modernizacja energetyki.

Kiedys suszarka ramowa miała moc 50 kW i w zakładzie był wielki szum z tego powodu, teraz na 500 kW i nikt się nie dźwi. 15 lat temu było tu 1,5 tys. silników. Obecnie jest ich 6 tys. i przez 3-4 lata trzeba było uczyć elektryków o naprawianiu nowych maszyn. Z tych to powodów inżynier Kamasa uważa, że otępienie tu nie grozi, bo w tym zakładzie, który mimo wszystko zamierza dalej żyć, nie dadzą człowiekowi zasnąć.

Eskimosika skreślono już kiedyś z programu inwestycyjnego. Psim swodem (inżynier Kamasa robi oki) udawało się jednak coś w nim zmieniać, upiększać. Cichcem, w ramach kapitałnych remontów wymieniono np. bruki na asfalty, zrobiono chodniki. — Czasami trzeba ostro zaprzęć się i ciągnąć — powiada Kamasa — ale wszystko jest w porządku jeśli widzi się w tym jakiś sens.

Znowu przechodzę przez tkalnię oguszającą loskotem.

Prawie to decybeli.

Pół godziny temu dowiedziałem się w zakładowym klubie sportowym „Teżca”, że do sekcji gimnastycznej, na zajęcia z gimnastyki rekreacyjnej bardzo licznie zaczęły zgłaszać się kobiety z produkcji, tkacki. Zobaczyły, że gimnastyka ta cieszy ich dzieci, które po zajęciach w klubie zabierają się do gimnastycznych wygibasów na domowym dywanie. Więc ich matki, te kobiety które zgodnie z tradycją rodzin tkackich miasta Łodzi nauczyły się dzwigać wszystkie sprawy domu, którym daje się urlopy poza kolejnością właśnie z tego powodu, wśród których sporo jest kobiet porzuconych przez mężów lub bez mężów, one, tkacki, złożyły kilkudziesiąt podań o przyjęcie na zajęcia z gimnastyki rekreacyjnej.

Tę wiadomość można wydrukować obok informacji o mistrzach olimpijskich.

I nagroda w Konkursie zorganizowanym z okazji 150-lecia Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi

OBYCZAJE

JERZY URBANKIEWICZ

METKA DO SYGNETU

Zainteresowanie dla przeszłości, które w naszych latach uzyskało nazwę „retro” poczęło się rodzić w czasie wojny. Stosunek naszego narodu jako całości do wojny i jej problemów był ściśle określony. Tym niemniej znalazły się przeciw jednostki, które od wszelkich działań skierowanych przeciwko okupantowi trzymały się z daleka, a lansowały nawet filozofię o konieczności utrzymania „substancji narodu” rozumiejąc pod tym określeniem siebie, którym przy tym działano, którą w sposób zdumiewający scharakteryzował pewien kolekcjoner, występujący przed kamerami telewizji w maju ubiegłego roku. Wypowiedź zanotowałem na gorąco: „W czasie wojny elementy słabsze ekonomicznie wyzywały się różnych przedmiotów zabytkowych. Kolekcjonerzy należeli, sędzieli nad, co elementów mocniejszych ekonomicznie i prowadzili działalność, której niekiedy usiłuje się przypisać waler zasługi a nawet bohaterstwa. Nie jest to poglądy słuszny z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze budzi wątpliwość sirona moralna transakcji: dzieło sztuki za kilogram ziemniaków, to drugie — ten sam kolekcjoner przyznał się, że w czasie Powstania polskiego nie mógł znieść w sobie mieszkanie pełne przedmiotów zabytkowych. To było wszystko, co dziś widziemy na giełdach sztuki, przetrwało dlatego właśnie, że było rozproszone, uniknęło więc kul jak ich unika żołnierz w tyralerie. Docekało lat stabilizacji i przydzwiekach międzywojennego tangga wypelzło z krycia do gąbki i na ściany.

Obok dzieł sztuki, broni i przedmiotów codziennego użytku, obok starej piosenki wróciła do łask stara fryzura i stary strój. Zagadka dla socjologów. Czy doją do wspólnych wniosków, czy nie, wolno sądzić, że pokolenie wychowane na „potaniu produkcji” za wszelką cenę, dostało ciekawki od zgrzebności i brzydoty, zawiśle wiecei łorzona na szyi i dewizka na brzuchu, aby było ładniej na co dzień. Ależżiska społeczne miewały na ogół swoje konsekwencje, swoje ciągi dalsze. Obok szabli na kilimie pojawił się portret sarmacki, a stad już krok do sygnetu z herbem. Znam tylko jednego człowika, który sobie część mieszkanie urządził w chomata, łusnie, koła i inne rekwizyty chłopięce. Urządził tak przedpokój. W pokój wisi portret nie autentycznego przodka-szlachcica, wolno więc chyba wyciągnąć oolny wniosek z tego, co się u nas dzieje, że pomimo niewatpliwiej przebudowy świadomości, jaka się w naszym trzydziestoleciu dokonała, wolimy się otęczać atrybutami przeszłości szlacheckiej niż chłopięcej. Nie wnioskuj w powod! Karmazynowe buty są bardziej atrakcyjne niż najpiękniejsze lipowe laptice. A pozostał — jak mówią rzymskie przysłowia — „czem by dia nie bawilosi, lisby nie plakalo”.

Sarmacki portret na ścianie lub szabla obok skalkowanego pistoletu i ryngrafu zdecydowanie kocznie jarza się nam z „Desa”. Natomiast sygnet z herbem może dziś jeszcze z usadzanymi powodów wywołać pytanie: „czy to własny, rodowy?”. Ze zainteresowaniem tym przedmiotem przybrało rozmiary zjawiska społecznego, do wozdą tego nie tylko doświadczania indywidualne. W bibliotekach publicznych rozpacze: gina książki! Nawet czytelnicy korzystający z księgozbioru na miejscu wyrwywały karty, rozdawali, całe książki z okładki, a na ich miejsce wkładają makulaturę. Wśród ksiązek, które gina, są herbce. To już inna sprawa. Tu już chodzi o dopasowanie relacji drukowanej do wrytego na sygnecie herbu. Ci kradną, albo wiem nie wiedzą, co czynią. Nie zdają sobie sprawy, że herbce powstały w ostatnim stuleciu, że ich autorzy też żyć chcieli, mogli wiec za opłatą osadzić potomka chłopięcego między senatorami. Nie zdają sobie poza tym sprawy z groteski, która niezrównany Mleczko ujął w słowa włożone w usta grawera: „A wice upiera się pan, aby obok herbu wyrażerować na sygnecie — „magister”?”.

Pojęcie kultury szlacheckiej zawiera w sobie ogromną część kultury polskiej. Jako naród jesteśmy jej wynikiem i słowa „przebudowa świadomości” oznaczają akceptację tego faktu, obok konieczności dokonania w niej głebokich, uzasadnionych obecny ustrojem zmian. Prof. Chłasiński twierdzi, że polska warstwa inteligencji powstała „z elementu szlachecko-ziemianskiego”, dodaje też, co ma dla fasynejcji szlachecka przeszłość nie małe znaczenie, że powstała „w drodze społecznej degradacji, a nie społecznego awansu”.

Nobilitacja była w państwie feudalnym instytucją. Ale każde państwo współczesne, wśród nich — Polska stosuje i dziś określone formy nobilitacji. Zasadniczo nie dziedziczne, chociaż — różnie z tym bywa. Osmaczyk wola wielkim głosem: „Powszechna nobilitacja zobowiązuje wszyst-

kich bez wyjątku Polaków”. Nie wszyscy się do niej pocuwają. W Polsce feudalnej instytucja szlachectwa była dla wszystkich atrakcyjna, natomiast nobilitas w znaczeniu szlacheckości i „czystości krwi” różnie wyglądała.

Sprawy powstania i rozwoju stanu szlacheckiego, przyswojenia sobie nazwisk, przemieszania się z innymi stanami naukowo zbadał na Uniwersytecie Łódzkim prof. Józef Matuszewski i dr Jacek Matuszewski. Z badań tych m.in. wynika, że już w XIV wieku pod szlachectwo podsywają się osoby nie legitymujące się szlacheckim urodzeniem. Wydane wtedy ustawy (Statuty Wislickie i Malopolskie) niezgo widocznie nie zmieniły, problem bowiem narastał, w XVII zaś wieku jego waga była tak wielka, że pewnie „szlacheć” szlacheć. Walerjan Nekanda Trepka napisał dzieło unikalne w piśmiennictwie chyba nie tylko polskim. „Liber generationis plebeorum” nazywana potocznie „Liber chamorum” czyli „Księga chamów” zawiera, oprócz ogólnego omówienia zjawiska, około 2500 pamfletów na osoby, które bezprawnie „wszrobowały” się do szlachectwa. Trepka wymienia osiem sposobów „szrobowania” się, chyba jednak wszystkie one miały jedną rzecz za punkt wyjścia: zdobycie majątku. A wice o przynależności do stanu nie decydowała żadna „szlacheć”, a wszystko jedno jaka droga zdobyła majątek: przez bogaty ożenek z chłopką lub mieszczanką, z łaski pana lub z jego okradania, z prowadzenia szynku lub handlu bydłem. Przeciż z drugiej strony wiele było przypadków faktycznej utraty szlachećwa, a wice „schłopięcia” skutkiem ubóstwa. Trepka zadał sobie ogromny trud dokładnego przesledzenia koligacji tych dwóch i pół tysiacek rodzin i bezlitośnie ujawnił ich plebejskie pochodzenie. „Bebnowski nazywał się Jan, bekart p. Jedrzej Chwaliboga... Teko bekartą gdy przy oju tem swem chłopiectem beł, że pekato rósł, zwal go heben (czasem Besiu), on podrószysz Bebnowskiim zwal się”. O kim innym: „Miał syna jednego też bałwierzycy, a dziewce dwie, które mu rwelely się w zamutkach w Krakowie”. Albo: „Syna jego jednego sieto beło w Piotrkowie z kilka innszych, co rozbiłali, a gdy rozbieli heli szlacheć, przeszpięgowano ich, poimano i sieto cirea 1632”. Nie ma tępka wzgledów dla pici pięknej: „Borkowskie dwie beły też w Krakowie skortyza nuki. Mieszkały po różnych kamienicach najmem i samy siebie najmowały cirea 1624 i potym”. O pewnym bekarce obrońca stanu szlacheckiego pisze, że w Sroekim „z małpa mieszkał bez slubu i miał areybekarty z nia”. Prawie każdy z tych pamfletów zawiera też krótka opowiesć o tym, w jaki sposób dana osoba doszła do majątku. „Ten po oicu soliołse wiazawsz piędniadze, bla walow nasprawlali sobie, konie poszesne, że na one bute dal mu beł p. Ref córke...”. O kim innym, że „pańskie woly do Słaska goniec i swoich po kilkanaście przy pańskich miewał, że za lat kilka przszedł do kilku tysicy złotych i za szlacheć udawał sie”. Blynal Trepka swoistym dowcipem, dając często własnosc ocene poszczególnych przypadków „wszrobowania” się do wyższego stanu: „Ten za herb smie używać półtora kryża. Trzebazy ich półtora kijų, to jest cepami wyżęgnąć od tego, żeby chłopci szlachta się temere nie czynieli”. O rodzinie zaś niejakiego Aniolka pisze: „Trzebazy mem skrzydła kijų debowemu opalić, bo sie szlachta chea zwąć”.

Dwa i pół tysiąca przypadków to może niewiele, ale wziąć trzeba pod uwagę, że jest to dzieło jednego tylko człowika, którego możliwości były ograniczone. Wywłóki na światło dzienne osoby przeważnie w jakimś sposób związane z Krakowem i okolicami. Zapewnie podobna „Liber chamorum” można by napisać w każdym innym zakatku ówczesnej Rzeczypospolitej.

To ustawiczne mieszanie krwi szlacheckiej z plebejską nie było jedynym zjawiskiem obniżającym wartość rodowych sygnetów. W wieku XVIII Jakub Lejbowicz Frank dał początek ruchowi frankistów. Hołó Żydów wówczas nobilitowanych szacuie się na 24 tysiące. Nikt natomiast nie obliczył, ile dyplomów szlacheckich wydał (czytaj: sprzedał) plebejgom monarchowie państw zaborczych, zwłaszcza cesarz austriacki. Sporo napisano o wadach i zaletach stanu szlacheckiego i moźnowladców polskich. Tragiczny finał Rzeczypospolitej szlacheckiej stanowi zarzut nie do odparcia. Chcemy czy nie chcemy jesteśmy spadkobiercami tej spuścizny, a narodowa mądrość polega m.in. na nie powtarzaniu błędów. Uwierzylimy Sienkiewiczowi, że ci nasi nobilitowani przedkowie byli dzielni i rzeczywiście mamy nie tylko na kartkach trylogii przykłady dzielności. Według świadectwa Kochowskiego (Historia panowania Jana Kazimierza) Kowalski, chorazy ziemii lwowskiej „sdy mu pod

Zborowem prawa reko ucieto, lewa reka trzymal choraziew, a guy mu i tó nieprzyjaciel, uciał, pod sie choraziew rzucił, choraziew trupem padłszy przed nieprzyjacielem obronił”. Ale mamy też liczne przypadki zgola inacez charakteryzujące wczesniejszich nosiceli naszych herbów. Stanisław Albrycht Radziwiłł pisze w „Pamiętnikach” o wyzwoleniu Zbaraża: „A co dziwniejsze, słuzacy, pachołcy, którzy za obozem szli, lepiej się popisali niż ich panowie i z wielkim impetem nieprzyjaciela ze Zbaraża miasta wypędzili”. Mnóstwo analogicznych przypadków przytaczał inni pamiętnikarze, wśród nich Jarczyski, Teofil Szermzer, Żółkiewski.

Byliśmy chciwi. Chciwość leżała u podstaw „wszrobowania” się chłopów do stanu szlacheckiego, przykłady chciwości nawet rodowej, starej szlachy były tak liczne, że Jan Ostrowski marzył o radykalnych środkach zaradczych: „...niechaj jeno kara konfiskaty dóbr nastanie, beda sie wtedy poprawiać”.

Nasi dzielni specjaliści od niezbżyładnego budownictwa, kiedy posyłał Jasia po pół litra, znajdują usprawiedliwienie dla opilstwa na stronach książki Mieczysława Tobiasza „Szlachta i moźnowladztwo w dawnej Polsce”. „Picie uchodziło nie tylko za największą przyjemność, ale też i za przywilej szlachećki, którzy wszystkich tym bardziej wprawiaj w zadziwienie, im kto wiekszym okazał się opojem”. „Poglad ten znajduje potwierdzenie u Kitowicza: „Czterech, a czasem dwóch dobrych lykaczów wyodrznili (bezkze) 50 garneowa, od wicezery do poduszki, mało albo nie zarwawszy północka”. Nie trzeba nikogo przekonywać, że ta i inne cechy wywieraly wpływ na bieg spraw publicznych: „Panowie wielcy stawali się o takich pliaków, którzy lubili trzańe scimkami, rej wodzić po wszystkich magistraturach”.

Lista polskich grzechów jest długa. Patriotyzm polski, który w ostatnich lat dziesiątkach nabral nowych wartości, ma w naszych dziejach swoje gorzkie symbole choćby w nazwiskach takich jak: Hieronim Radziejowski, Adam Poniński, Kaswery Branicki, „Cofartoryse” — pisze cytowany już Tobiasz — wystygawali sie Rosji, Lubomirscy Austrii, Sapiehowie Szwedom. Sulkowscy Prusom, Szembekowie Sasom, Potocy Francji”. Dla lasności obrazu opinia J. Maciejewskiego („Szlachta polska i jej państwo”): „...ani król, ani moźnowladcy nie byli w stanie podjąć jakichkolwiek kroków przeciw szlacheć, osłabił zdobystwach przez nia powolci”, przeobstawic sie coraz ostrzejzym i bardziej stanoczym żądaniem egzekucji praw i dóbr”.

Biorąc wice pod uwagę wszystko wyżej powiedziane, kto sobie sprawy sygnet z herbem, kupuje kota w worku.

Czy można też wieloznacznej nobilitacji historycznej przeciwstawić nobilitację współczesną? Jak wspominałem, Osmaczyk twierdził, że wszyscy zostaliśmy nobilitowani. Przecież. Czy byłoby tak w piosenki Młynarskiego, który włożył twarz w „kolekt wieprzowy, panierowany” też został nobilitowany? I ten, którego niechęć do paecenia alimentów spowodowała utworzenie przez państwo funduszu alimentacyjnego, także? I einklarze? I te panie, które — używając języka niezapomnianego Trepki — „murywaly się po zamutkach” za złotówką i dewizę, również? Rzecz chyba w tym, że Polska Ludowa zapewnią wszystkim prawo do nobilitacji, po spelnieniu jednak pewnych warunków.

Podobnie jak w minionych wiekach naszych dziejów, podstawa nobilitacji za zasługi wojenne. Kombatanci uzyskali przywileje za sam udział w działaniach wojennych. Wyroźnienie się w boju stanowiło podstawę przywilejów specjalnych. Ale patrzeć trzeba na to (majełacia wieża)! Grupy w taki sposób nobilitowanych Polaków, stwierdził należy, że długi okres pokoju sprawa, że romantyzm wojennego bohaterstwa blaknie, staję się gabołowato — książkowo — filmowy.

Jest więc ten drugi rodzaj nobilitacji, którego podstawa — pozytywne działanie. Czytalem kiedyś w „Zyciu Warszawym” skarcie Polki majacej obce obywatelstwo, że za pobyt w sanatorium zapłaciła znacznie więcej niż obywatel polscy. Otrzymała szlaska odpowiedz: dzieki ich pracy to sanatorium istnieje i działa; pan w tym tworzeniu nie uczestniczyła. A wice — przywilej, nobilitacja, której podstawa — pozytywne działanie.

Nie ludźmy się, zjawisko „szrobowania” się do współczesnego szlachećwa istnieje dziś, jak istniało kiedyś. Jesteśmy przeciw tym samym narodom, nosiacym w sobie wiele historycznych zalet, ale i historycznych wad. Pamiętając o tej poprawie moźemy twierdzić, że jest zasadniczo różnica w relacji: c-łowiek — przywilej dawniej i dziś. W Rzeczypospolitej szlacheckiej zlwazył był z przynależnością do stanu, z posiadaniem herbu na sygnecie, praktycznie był nie do odebrania. W Polsce dzisiejszej jego moc obowiązująca jest asynchroniczna z wartości człowika, wciąż jego postawa sprawdzana.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY



BYŁEM STEWARDDEM

(Korespondencja własna z Brazylii)

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzy dni spędziłem na wybrzeżu petrochemicznym wśród wylęgów siarki, amoniaku i przemysłowego świństwa, podejmując uciążliwe wycieczki do dzielnic centralnych; potem przeholowali nas bliżej, w strefę sklepików żydowskich z wszelką tandetą — barchan, peruki, kołdry, bele odpustowego materiału, kalkulatory, szalbiercze chronometry z Hongkongu szalbierczej marki SEIKO (na tarczy dwadzieścia kamieni — w środku ani jednego); w drzwiach i witrach tych kramów szumne reklamy z języku polskim i rosyjskim, każdy handlarz wywija wodnie pierwszym i drugim. — Pan pozwoli! — Paźlista towariszcz! — Ale polscy marynarze i radzieckie matrosy wolą raczej spacer na świeżym powietrzu.

— Wie pan, jak nazywają Holendrów tych kramarzy?
— Chwileczkę! — przerywam swemu informatorowi. — To są emigranci?
— Tak.
— No, więc jak ich nazywają?
— Hienami albo złodziejami.
— Dlaczego?
— Bo oni uprawiają najbardziej chamski, niemoralny i bezwstydnny handel na świecie. Nie mają swo-

ich warsztatów, fabryk, dostawców, żaden uczciwy holenderski sklepikarz nie utrzymuje z nimi stosunków.

— Więc skąd biorą towar?
— Z soldów. Czekaają na coroczną, posezonową obniżkę cen, ogłaszając wiosną i na jesień przez wielkie rotterdamskie magazyny. Wynajmują ciężarówki, wykupują najgorszy chłam i wywalają go później na swoje lady z nadzieją, że biedny polski i radziecki marynarz da się nabrać.

— Płacąc odpowiednio więcej?
— Tak.
— I co? Dają się nabrać nasze słowiańskie zuchy?
— Pan żartuje!...

Przełot przez Atlantyk trwał czterdzieści dni. Kawałtrochę na Biskajach, potem niebo wypogodziło się, a morze uspokoiło, pokazały się delminy i latające rybki, jedna pani (pasażerka) narobiła wrzasku, że widziała wieloryba. Innym znowu razem wynurzyła się u burty groźna rekina pletwa; wszyscy wybiegli na pokład, żeby ją podziwiać, a szef kuchni, równy gość i doskonały fachowiec, nadział na połączony ze stalową linką hak kawał krwistej wątroby i ciskając przynętę do w-

próbował złowić żarłacza, ten jednak płynął wolniej od statku i nie zdążył.

Zostawiliśmy za sobą Kanary, ostarliśmy się o Wyspy Zielonego Przylądka, Afryka zaczęła oddalać się — Ameryka przybliżać. 21 lipca mineliśmy Zwrotnik Raka i znaleźliśmy się w strefie tropiku, 22 lipca o godzinie pierwszej w nocy przekroczyliśmy równik. Statkowe menu (znakomite!) uległo w tym momencie dalszej poprawie — zwiększone racje owoców cytrusowych: już od rana w charakterze przystawki pół ogromnego grapefruita, po obiedzie mandarynki, pomarańcze, a na życzenie — ja nie żartuję! — każdy pasażer i członek załogi miał święte prawo do szklanki wina (A tropical fine red dry wine), które wedle specjalistów z Instytutu Medycyny Morskiej poprawia w tym morderczym klimacie apetyt, wzmacnia samopoczucie i reguluje ciśnienie.

Smutek tropików. Jest to jedno z owych genialnych stwierdzeń (i tytułów), których zasadność poznać możemy dopiero w konkretnej sytuacji i na własnej skórze. Umówmy się: tropik to strefa pomiędzy Zwrotnikiem Raka i Zwrotnikiem Kozirożca. Jeśli byłeś w Maroku, Egipcie, Syrii czy Iranie, albo nawet na samym południu Florydy, nie tłuź się — to jeszcze nie tropik!

Jesteś gnuśny. Masz dosyć słońca. Zaczynasz sobie zadawać pytanie: Co ja tu, do cholery, robię? Nudzi cię błękit morza. Gorąca i parna noc równikowa nie daje ci spać. Setka wódek kładzie cię tak, jak w kraju pół litra. Po paru dniach przyzwyczajasz się i znowu życie jest cudne!

Marynarze szorują pokład, który — w przeciwieństwie do większości nowoczesnych statków — zbity jest z desek, z najszerszego, zdrowego drewna. Marynarze w ekwilibrystycznych pozach, przewiązani niczym alpinści, linami, wsparci o rozhuśtane, prowizoryczne platformki, myją komin, a później, ubezpieczając się nawzajem, pedzują go od samego szczytu żółtą farbą. Za pomocą zwykłych i elektrycznych młotów odłupują rdzę z burty na najniższym pokładzie.

Słona woda, wiatry i deszcze zderają statek: to, co z żelaza i stali — koroduje, co z drewna — wypacza się. Liny ulegają przetarciu, smary w trybach masztów ładowniczych — wyschnięciu. Jednostka pływająca wymaga nieustannej konserwacji — zarówno tu, w swojej części pokładowej, jak i tam, w dole, w siłowni, gdzie temperatura oscyluje w granicach pięćdziesięciu stopni Celsjusza i ludzie — mechanicy, motorzyści — opływają strugami potu. To, co zrobiłeś solidnie dzisiaj, za miesiąc będziesz musiał zrobić jesz-

cze raz — sadze znowu okopca komin, rdza przedrze się znowu przez warstwę antykorozyjnej emulsji.

Dziwny to naród — marynarze. Jeśli mam położyć rękę na sercu, muszę przyznać, że w żadnym zakładzie nie spotkałem ludzi pracujących tak solidnie i sumiennie.

Bosman powiada:
— Oni muszą pracować, muszą się zmęczyć, inaczej, w beczymności, załabiłaby ich myśl o domu, żonach, dzieciach.

— Chce pan powiedzieć, że jest to praca dla pracy, na podobieństwo ćwiczeń wojskowych w czasie pokoju?

— Nie. Im marynarz lepiej pracuje, tym dłużej statek utrzymuje się na chodzie, a każdy dodatkowy rok na morzu, to miliardy. Jednakże w naszym fachu praca spełnia także funkcję przerywnika, rozbijacza monotonii.

3.

Mijamy dwie pierwsze wyspy brazylijskie: Fernando de Noronha oraz Is. de Rata. Wcześniej, przed równikiem, była jeszcze maleńka wysepka Sao Paulo, ale nie widzieliśmy jej ze względu na zmierzch.

Na Is. de Rata (wyspie szururów) mieściło się kiedyś, w ponurej twierdzy, najcięższe federalne więzienie brazylijskie (widoczne dokładnie z pokładu), Fernando de Noronha jest zamieszkałe przez ubogich plantatorów i rolników. Obydwie wyspy przedzielone są NAJTLUSTSZĄ CIĘSNINĄ SWIATA, gdyż wedle opowieści marynarskich do dzisiaj roi się tam od ogromnych, leniwych (wypasionych trupami więźniów) żarłaczy. Niektóre z tych reklinów — ludojadów dochodzą podobno do ośmiu metrów długości, nam jednak nie chciał się objawić nawet ten najmniejszy.

25 lipca statek zaciął kotwicę i odbyły się trzy próbné alarmy: ŁODZIOWY, POŻAROWY i CZŁOWIEK ZA BURTĄ. Białe łodzie ratunkowe, utrzymywane w stanie nieustannej gotowości, zostały zwoadowane, część załogi zeszła do nich po sznurowej drabinie. Manewry trwały około dwóch godzin, zwracając na siebie uwagę brazylijskich sił powietrznych. Tuż za Rio de Janeiro, którego mityczna panorama przesunęła się z wolna przed naszymi oczami, ukazały się nad statkiem wścibskie samoloty, a kiedy późną nocą stanęliśmy na redzie w Santosie, wśród malowniczych, górzystych wysepek, zaczęła nas opływać policyjna motorówka.

Przypominało to trochę spuszczonego z łańcucha psa, który powarkując groźnie w domowym ogródku czepia się nogawek gościa aż do czasu, kiedy nie nadejdzie pan. Straciłmy ją dopiero z oczu, kiedy inna motorówka podwoziła do burty pilota i zaczęliśmy wchodzić do portu. Tam, z chwilą opuszczenia trapu, wdarło się momentalnie na pokład kilkunastu celników z Czarnych Brygad i zaczęli przeczyszczać wszelkie statkowe zakamarki: ładownie, pralnie, kabiny, wentylatory, pokładowe skrzynie, przykryte plandeką łodzie, toalety i łazienki, chłodnie, szafki kuchenne i w ogóle wszystko, gdzie spodziewali się znaleźć jakąś fuchę.

Nie oczywiście nie znaleźli. GAI-CZYŃSKI był czysty, brudne natomiast są czasem rece celników. Spośród wszelkich, znanych mi na tak zwanym Zachodzie organów wykonawczych, najbardziej skorumpowaną i nieuczciwą społeczność stanowią właśnie celnicy, i to nie ci z lotnisk i pociągów, a właśnie z portów. Kiedy taki przeszpera ci kabinę i stwierdzi, że jesteś w porządku, z miejsca proponuje jakiś szwindel — może masz świerszczyki? Albo trochę whisky? A może chcesz kupić złoto? Ty, a może wiesz, kto trzyma jakiś byznes na boku? Zaszpicluj go, ja mu to zabiorę, połowa dla mnie, połowa dla ciebie. Takich celników znaleźć można w Grecji, w Turcji i Libanie, a czasami także w Argentynie i Brazylii... Nie wynoś z sobą za bramę portu więcej niż jedną paczkę papierosów, bo jak cię cap-

na, wezmą cię za przemytnika. Aha, i uważaj na portowych polonusów — konfidencji!

Oto nasze pierwsze kroki na brazylijskiej ziemi i tuż za bramą, na niewielkim placu, wpadamy na pięćdziesięcioletniego rodaka. Wsparty tyłkiem o maskę swojego gruchota uśmiecha się do nas miłośnie i sepleni z mazurską:

— Macie coś?
— A co by pan chciał?
— Noo, kremy, papieroski, prasta-
ta...

Marynarz podsuwa mi otwartą paczkę Carmenów. Gość odruchowo chwytając szponiastymi pazurami trzy sztuki — jedną w gębę, drugą za ucho, trzecią do kieszeni, zapala i zionąc dymem mruczy poządliwie:

— Ze mną może być na całego, chłopaki, mam kumpla na bramie...
— Ale za to my nie mamy — wtrąca któryś z marynarzy.
Zostawiamy go tak, z rozdzieloną gębą, kilkadziesiąt metrów dalej łapie nas inny podstarzały rodak:

— Skąd jesteście?
— Z Łodzi.
— Jezus Maria! Ja też jestem z Łodzi. Pakulski! — wyciąga spólną rękę. — W czterdziestym szóstym wyjechałem, za chlebem.
— I co? Dobry tu chleb?
— Panie — mówi facet, biorąc



rzecz dosłownie — chleb jest dobry biały, pachaty, ale przydały się bochen polskiego razowca.

Patrzę w tę ogorzałą, szczerą fajtę i myślę sobie, że to porządny gość. Rozmawiam z nim jeszcze przez chwilę, Bokserem był przed wojną podobno. Teraz uczy brazylijskich policjantów, jak zastawiać gardę i walić sierpem w bandycki podbródek.

— Pan jesteś marynarzem? — do-pytuję.
— Tak.
— Z pokładu?
— Nie.
— Z maszyny?
— Nie.
Twarz byłego łódzkiego boksera przybiera wyraz radosny.

— Za stewarda pan robisz?
— Zgadza się.
— To jesteś pan blat z kucharzy-mi.
Rzeczywiście byłem „blat” z kucharzami. I rzeczywiście byłem młodszym stewardem, podczas gdy moja żona była starszą stewardesą. Kto nie wierzy, niech przyjdzie w południe do „Odgłosów” — pokaże mu dokumenty. Zatem — nie mówcie, że fantazuję, łódzki bokser dostał swój chleb!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: Elżbieta Makowiecka



"MARIA CURIE" TELEWIZYJNY SERIAL BBC

Tysiące widzów w Wielkiej Brytanii zasiada przed srebrnym ekranem, gdy nadawany jest kolejny odcinek nowego serialu, cieszącego się nie mniejszym powodzeniem niż „Saga rodu Forsytów” czy o Królowej Elżbiecie. Tym razem bohaterką jest nasza rodaczka, wielka uczona, Maria Skłodowska-Curie, zaś tytuł serialu brzmi po prostu „Maria Curie”. W recenzji sprawozdawca londyńskiego „Observera”, Clive James, napisał m. in.: „po dwóch pierwszych epizodach można śmiało stwierdzić, że jest to serial znakomicie zrobiony pod każdym względem, z niecierpliwą więc i nadzieją oczekujemy na następne odcinki”.

Autorką scenariusza jest Elaine Morgan, w roli polskiej uczoney występuje znana aktorka angielska, Jane Lapotaire, film reżyserował John Glenister.

Elaine Morgan szczęśliwie uniknęła sentymentalizowania i heroizowania, nie ujmuje jednak nic z prawdziwej wielkości swej bohaterki, wyrastającej ponad miarę przeciętności, urzeczonej nauką, a mimo tego nie pozbawionej ciepła i kobiecych słabości. Autorka pominięła młodość Marii Skłodowskiej, serial rozpoczyna się od spotkania Piotra Curie i Marii w Paryżu, wspólnego pojęcia tej niezwykłej pary, opowiada o domowych kłopotach, gdy narodziła się pierwsza córka i o trudnościach dwojga młodych uczonych, borykających się m. in. ze sceptycyzmem kolegów i brakiem poparcia ze strony ówczesnych luminarzy naukowych Paryża. Piotr i Maria tworzą parę niemal idealną, co nie znaczy, by nie wynikały między nimi drobne starcia i nieporozumienia. Dominującą osobowością w filmie — zgodnie chyba z prawdą — jest Maria, którą Jane Lapotaire gra może nieco zbyt chłodno, ale udaje się jej rzecz najważniejsza — przekazywanie wewnętrznej mocy i piękna kobiety, która siłą woli i wielkością umysłu potrafiła przełamać wszystkie bariery.

AUTOFUNDACJA DUBUFFETA

Znany francuski artysta plastyk, 76-letni dziś Dubuffet, nie mając ani następców ani spadkobierców, stworzył własną fundację. Celem jej ma być zabezpieczenie i ochrona jego spuścizny artystycznej: zakup, sprzedaż, konserwacja, autoryzowanie i publikacja jego dzieł, a także opieka nad archiwami artysty.

Dla tej właśnie fundacji Dubuffet kończy budowę siedziby według własnego projektu w Perigny-sur-Yrres, w okręgu Val-de-Marne. Jest to monumentalny obiekt o wyglądzie szerokiej muszli, położony w ogrodzie otoczonym postępnym w nierównym linie murem. Gmach wzniesiono na terenie położonym obok pracowni artysty.

Dla wiernego skopiowania opracowanej przez siebie makietę Dubuffet rzeźbił w ziemi za pomocą buldożerów, zabezpieczal budowlę przed wilgcią, zakładał drenaż i rowy odwadniające. Potrzebował aż cztery lata, aby starannie wykończyć ogród i budowlę. Dziś biała swą bliższy ona na tle zieleni łąk i zarośli. Dubuffet inwestuje w nią wszystko, co uzyskuje ze sprzedaży swych prac.

Na razie artysta gromadzi tu przede wszystkim rysunki i makietę architektoniczne, a także rzeźbione kukielki animowane ze spektaklu „Cocou Bazar”. Ma jednak nadzieję, że w przyszłości obiekt przeksztali się w wielką galerię jego dzieł. Na razie Dubuffet nie zgadza się na zwiedzanie swej monumentalnej budowli, ani przez specjalistów, ani amatorów. Tylko nieliczni uzyskali specjalne zezwolenie. — Nie chcę tłumów — mówi artysta. — Po mojej śmierci może się tu zmienić.

Pod przykrywką demagogicznych hasel o rzekomo bezinteresownym działaniu na rzecz umocnienia niezawisłości krajów wyzwających się z kolonialnego ucisku, kółka monopolistyczne próbują zahamować proces socjalnego rozwoju tych państw i zachować tam swoją kontrolę w sferach: ekonomicznej i politycznej. W tym celu szeroko wykorzystuje się liczne ośrodki naukowe, głównie w USA, które, wykonując zamysły służb wywiadu i wielonarodowych monopolu, opracowują tzw. programy naukowe, de facto nastawione na ograniczenie samodzielności krajów rozwijających się.

W USA doskonale działającym mechanizmem, który przekształcono w instrument ujarzmiania byłych narodów kolonialnych są badania naukowe. Nie chodzi tu oczywiście o obwinianie ludzi nauki w Stanach Zjednoczonych o brak uczciwości, szczerości czy sumiennosci, lecz o nieublaganą logikę rozwoju systemu kapitalistycznego, eksploatującego intelektualne zasoby kraju w celu użycia ich w interesach imperializmu. W działalności uniwersytetów wykonujących zamówienia północnoamerykańskich monopolu można wyodrębnić dwa etapy. Pierwszy, w okresie „zimnej wojny”, można scharakteryzować działalnością uniwersytetów niemal wyłącznie ukierunkowaną przeciwko krajom obozu socjalistycznego. Drugi przypada na okres rozpadu systemu kolonialnego i powstania ruchów narodo-wyzwoleńczych. W tym czasie uniwersytety w USA znaczną część swych wysiłków badawczych skierowały na opracowywanie środków naukowo-technicznych, niezbędnych do urzeczywistnienia strategicznych zamysłów kół imperialistycznych ukierunkowanych przeciwko krajom Trzeciego Świata.

Dotyczy to przede wszystkim opracowania strategii wojny antypartyzanckiej i skonstruowania specjalnych rodzajów broni. Na przykład w laboratoriach Harvard University stworzono napalm, jeden z głównych rodzajów broni armii USA, używany w walce z oddziałami ruchów narodo-wyzwoleńczych. Uniwersytet w Michigan skonstruował przyrządy do widzenia w podczerwieni, używane następnie do wykrywania partyzanów walczących w dżungli. Instytut Analizy Kosztów — tzw. organizacja niezależna i niekomercyjna — specjalizowała się pod egidą Pentagonu w opracowywaniu udoskonalonej broni używanej do walki z powstańcami. Badania prowadzone przez tę instytucję wiążą się np. z opracowaniem przesławnej „piersi-cienia McNamary” wyrobowanego w Algierii pod nazwą „elektryczny zapory”. Kulki bombowe lotnicze, używane w Wietnamie i Algierii, także opracowano w uniwersyteckich laboratoriach USA.

Komisja do Spraw Energii Atomowej USA wydała miliony dolarów na stworzenie taktycznej broni jądrowej, przeznaczonej do niszczenia ludności na ograniczonych powierz-

chniach. Możliwość użycia jej w Wietnamie badał jeden z fizyków z Columbia University. W zakresie nauk społecznych i humanistycznych (ekonomia polityczna, socjologia, psychologia, etnografia, historia, filologia, pedagogika itp.) badania naukowe szły w tym samym kierunku: umocnienia pozycji imperializmu w Trzecim Świecie. Pragnąc osiągnąć te cele rządzący kołom USA była potrzebna informacja, którą można uzyskać tylko w drodze studiowania obyczajów, tradycji, obrazu życia narodów krajów wyzwolonych, ich ekonomiki, kultury, struktury społecznej. A ktoż zrobi to lepiej, jak nie pracownicy uniwersytetów, którzy prowadzą badania pod osłoną hasła o działalności naukowej, a więc politycznie neutralnej.

Uniwersytety Stanów Zjednoczonych i innych krajów Zachodu wysyłają co roku do krajów Azji, Ame-

nia w murach uniwersyteckich prowadzi się w zasadzie według instrukcji służb specjalnych, w drodze zawieranych kontraktów. Łatwo się o tym przekonać, wertując spis i tematykę niektórych prac wykonanych przez liczne instytucje naukowe, na zlecenie Pentagonu i CIA. I tak np. kompania Rend Corporation opracowała tematy: „Znaczenie wojny ograniczonej”, „Atlantycki model lojalności politycznej i jej zastosowanie w rewolucji kubańskiej”. Research Analysis Corporation: „Zniszczenie potencjału ekonomicznego jako broń w walce z powstańcami”, „Mobilizacja i wykorzystanie mniejszości narodowych do walki z powstaniami”, „Operacje bojowe przy użyciu śmigłowców w wojnie francusko-algierskiej”. General Research Corporation: „Analiza wydarzeń w Wenezueli, Kolumbii i Panamie — niezbędna przy badaniu metod walki

NAUKA NA USŁUGACH WYWIADU

ryki Łacińskiej i Afryki wielu psychologów, socjologów, etnografów, ekonomistów. Nie ulega wątpliwości, iż część tych naukowców kieruje się czysto naukowymi pobudkami, nawet nie zdając sobie sprawy z faktu, iż ktoś mógłby ich wykorzystywać do realizacji swoich zamysłów. Istotnie, trudno się dowiedzieć, w jaki sposób ich badania włączają się do ogólnej polityki strategicznego programu działalności USA w Trzecim Świecie, której kryteria, orientację i cele określają ci, którzy kontrolują całokształt tego systemu.

Niedawno otwarto Instytut Badania Berberów. Głównym kierunkiem jego działalności nie jest oczywiście pogłębianie studiów nad tradycyjnymi skarbnami kultury Algierii. Należy wspomnieć przy sposobności, o wzroście liczby prac badawczych zachodnich naukowców nad problemami Kabylii (geograficzny region Algierii), która jest ogniskiem zbrojnego powstania przeciwko Francuzom.

Polityczny komentator algierskiego tygodnika „al-Mudżahid” informuje, iż rząd USA, CIA, czy wręcz takie organizacje jak fundacja Forda i Rockefellera finansują otwieranie specjalistycznych instytutów badawczych. Tworzy się je przy uniwersytetach w celu studiowania problematyki poszczególnych postępowych krajów Trzeciego Świata. W ten sposób działa Instytut Badawczy do Spraw Ameryki Łacińskiej, którego Fundacja Forda przyznała 125 tysięcy dolarów na zbadanie problemów Kuby. Przy Yale University otwarto „Centrum Studiowania Problemów Kuby”. Bardzo aktywnie działa w tym kierunku także uniwersytet w Miami. Uniwersytet w Cornell przeprowadził szereg badań dotyczących zagadnień Indii. Kalifornijski uniwersytet w Berkeley studiuje problemy Afryki. Podobne bada-

nia w murach uniwersyteckich prowadzi się w zasadzie według instrukcji służb specjalnych, w drodze zawieranych kontraktów. Łatwo się o tym przekonać, wertując spis i tematykę niektórych prac wykonanych przez liczne instytucje naukowe, na zlecenie Pentagonu i CIA. I tak np. kompania Rend Corporation opracowała tematy: „Znaczenie wojny ograniczonej”, „Atlantycki model lojalności politycznej i jej zastosowanie w rewolucji kubańskiej”. Research Analysis Corporation: „Zniszczenie potencjału ekonomicznego jako broń w walce z powstańcami”, „Mobilizacja i wykorzystanie mniejszości narodowych do walki z powstaniami”, „Operacje bojowe przy użyciu śmigłowców w wojnie francusko-algierskiej”. General Research Corporation: „Analiza wydarzeń w Wenezueli, Kolumbii i Panamie — niezbędna przy badaniu metod walki

z powstaniami w Ameryce Łacińskiej”, „Problem bezpieczeństwa przemysłu naftowego w Wenezueli”, Battle Memory Institute: „Prowadzenie wojny w bagnistych lasach”, „Badania w dziedzinie wykrywania i intensyfikacji poszukiwań substancji trujących w celu opracowania chemiczno-bakteriologicznych broni do walki z powstańcami”. Stanford Research Institute wykonał badania nad rozpylaniem stałych i płynnych elementów chemiczno-bakteriologicznych, przeprowadził specjalne badania w dziedzinie komunikacji w strefie delty Mekongu w Południowym Wietnamie, itp., itd...

Jeśli chodzi o Afrykę, to jedną z najbardziej aktywnie działających instytucji w zakresie badania problemów afrykańskich jest African-American Institute z siedzibą w Nowym Jorku, założony swego czasu przez CIA, a obecnie finansowany z Fundacji Forda. W dyrektorskim komitecie Instytutu zasiadają przedstawiciele kompanii American Metal Climex Corporation, przejawiającej duże zainteresowanie problematyką afrykańską.

Istnieje organiczny związek między aparatem uniwersyteckim i rządzącą wielką burżuazją. Monopole USA, bezpośrednio lub pośrednio, kierują pracami uniwersytetów, a w ich aparacie administracyjnym zasiadają przedstawiciele wielkiego biznesu, zajmując częstokroć kierownicze stanowiska. Na przykład William Barden jest rektorem Columbia University i jednocześnie jednym z dyrektorów następujących kompanii: Lockheed, Columbia Broadcasting System, Allied Chemical i American Metal Climex Corporation...

JERZY CZECH

(C)

DEBATA GENERALNA JESIENNY KALENDARZ TRZYNASTA RUNDA

Trwa debata generalna na XXXII sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Przewijają się przez nią najistotniejsze problemy współczesnego świata. Korzystny wpływ na przebieg obrad wywiera wznowiony dialog radziecko-amerykański i możliwość rychłego postępu prac w rokowaniach SALT-II. (Odybło się właśnie drugie spotkanie Gromyko-Carter, nie zapowiadane wcześniej, którego tematem były głównie problemy rozbrojenia).

Wydarzeniem jest list min. Gromyki do sekretarza generalnego ONZ — Kurta Waldheima z propozycją włączenia do porządku dziennego sesji punktu: „O pogłębienie i utrwalenie odprężenia oraz zapobieżenie niebezpieczeństwu wojny nuklearnej”. Odpowiednie projekty deklaracji i rezolucji załączone zostały do listu.

Jaki jest ich sens? Wzywają one wszystkie państwa do współpracy we wcielaniu w życie wielostronnych układów i porozumień, służących umocnieniu bezpieczeństwa na świecie oraz do podejmowania inicjatyw, mających na ce-

lu zahamowanie zbrojeń i szybkość u-regulowanie sytuacji konfliktowych. W dokumencie na temat zażegnania niebezpieczeństwa wojny nuklearnej podkreśla się, że wszystkie państwa dysponujące bronią masową z zagłady powinny przejawiać powszechną gotowość do rozmów oraz usuwania nieporozumień sposobami pokojowymi. Zawiera on sugestie, aby państwa nuklearne przeprowadziły rozmowy w celu przyjęcia dodatkowych środków zabezpieczających, doprowadzenia do całkowitego zakazu doświadczeń z bronią jądrową, ograniczenia tych zbrojeń i rozbrojenia pod kontrolą.

Oba projekty dyktowane są radzieckim przekonaniem, że ONZ powinna wnieść nowy wkład w proces odprężenia i zapobieżenia niebezpieczeństwu wojny nuklearnej. Wiele problemów jest przecież nadal otwartych, a samo odprężenie wymaga wciąż zasilania nowymi inicjatywami. ONZ może w tej dziedzinie — zgodnie z podstawowymi swymi celami i sensem jej istnienia — odegrać jeszcze większą rolę.

W toku debaty generalnej zabral głos przewodniczący delegacji polskiej — min. E. Wojtaszek. Podkreślił on, że sesja zebrała się w złożonym okresie rozwoju sytuacji międzynarodowej, kiedy to walka o pogłębienie procesu odprężeniowego weszła w nowy etap.

Jeśli chodzi o Związek Radziecki, Polskę i inne państwa socjalistyczne, zmierzają one konsekwentnie w kierunku utrwalenia pokoju i odrzucenia wojny jako narzędzia polityki. I nie jest to działanie taktyczne, czy też koniunkturalne. Wynika ono z podstawowych założeń ideologicznych i ustrojowych naszych krajów.

Na obecnym etapie rozwoju stosunków międzynarodowych występuje przede wszystkim nieodzowność pokojowego rozwiązywania wszelkich konfliktów, rozbrojenia i rozwinięcia na zdrowych zasadach współpracy gospodarczej. Trwały pokój powinien być realizowany przez rozszerzenie odprężenia na nowe obszary merytoryczne i geograficzne.

Z relacji korespondentów wynika, że zaprezentowany przez min. Wojtaszka program działania rządu polskiego w kwestii międzynarodowego bezpieczeństwa wywołał w ONZ szczególnie duże zainteresowanie.

A teraz zwróćmy uwagę Czytelników na Jesienny kalendarz międzynarodowych spotkań polskiego przywódcy. Z już zapowiedzianych trzeba wymienić wizyty Edwarda Gier-

KOSZMARNY REKORD

Rządy reakcyjnej dyktatury wojskowych w Urugwaju pograżają kraj w głębokim kryzysie politycznym i ekonomicznym. Naród pozbawiono elementarnych praw i swobód obywatelskich, wszystkie partie polityczne postawiono poza prawem. Do więzień i obozów koncentracyjnych wtrącono tysiące działaczy politycznych i aktywistów ruchu związkowego. Stosując represje, wodzireje reżimu posługują się instrukcjami opracowanymi przez Pentagon i CIA oraz korzystają z usług amerykańskich specjalistów. Każdego ranka na ścianach domów pojawiają się napisy z nazwiskami osób zamęczonych w więzieniach oraz apele Komunistycznej Partii Urugwaju i Zgromadzenia Narodowego Pracujących, wzywające do walki o zrzucenie jarzma junty.

Zagraniczne zadłużenie Urugwaju wynosi ponad miliard sześćset milionów dolarów, a zatem 592 dolary na głowę mieszkańca z niemowlętami łącznie! 70 procent tego długu musi być spłacone w przeciągu pięciu lat.

Po ulicach Montevideo, dzień i noc kursują wojskowe i policyjne samochody patrolujące miasto. W samym centrum stolicy znajduje się dowództwo armii, a nie odległa prefektura policji. Komisariaty policji są nieustannie strzeżone. Za workami z piaskiem lub małymi osłonami z betonu przez okragłą dobę pełnią służbę uzbrojeni po zęby żołnierze i policjanci. Takie środki ostrożności wymagają oczywiście dużych wydatków i wielu ludzi. Na każdych 36 obywateli Urugwaju przypada 1 żołnierz lub policjant. Ogromny aparat represyjny pochłania połowę budżetu państwowego. Czy Urugwaj długo udźwignie taki ciężar?...

Przy ulicy Sentenario stoi nowoczesny budynek „Silindro”, w którym niedgdy odbywały się mistrzostwa świata w koszykówce i siatkówce. W 1973 roku przekształcono go w „więzienie prewencyjne” dla aktywistów politycznych i związkowych, którzy nieraz oczekują tutaj długie miesiące na miejsce w więzieniach lub w wojskowym karcerze. W gmachu u zbiegu ulic Buenos Aires i Alesbar, w centrum Montevideo przed dojściem do władzy junty mieściło się Zgromadzenie Narodowe Pracujących Urugwaju i związek zawodowy pracowników budowlanych. Dziś mieści się tutaj więzienie i cele tortur.

Nie wszystkim wiadomo, że Urugwaj bije koszmarny „rekord” wśród wszystkich krajów Ameryki Południowej pod względem liczby więźniów politycznych. W ciągu ostatnich czterech lat spośród każdego 40 Urugwajczyków jeden został aresztowany i znajduje się dziś w więzieniu. Co piąty mieszkaniec Urugwaju opuścił kraj w poszukiwaniu pracy lub uciekając przed więzieniem. Ucieczka inteligencji i wykwalifikowanych robotników przybrała charakter masowy. Urugwajczycy stawiają juncie zdecydowany opór i prowadzą walkę, którą kierują komisje działające w podziemi.

ka na Węgrzech i we Włoszech oraz wizyte w Polsce prez. J. Cartera. Jest to jeden z przejawów polskiej aktywności i rozległych kontaktów naszego kraju.

Pozostaliśmy przy szerszej problematyce i odnotujemy, że właśnie w Wiedniu rozpoczęła się trzynasta runda rokowań 19 państw w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.

Rokowania te trwają już cztery lata i jak dotychczas brak decydującego postępu. Państwa zachodnie — i taki jest powód utrzymujących się rozbieżności — nalegają na znacznie większe redukcje sił Układu Warszawskiego, co oczywiście zachwiało by obecną równowagę. Nie możemy więc przyjąć takiego wariantu redukcji. Zanim uda się doprowadzić do bardziej realistycznego stanowiska Zachodu — proponujemy zawarcie porozumienia o zamrożeniu w okresie trwania rokowań liczebności sił zbrojnych obu stron.

Powrót do bezpośredniego dialogu radziecko-amerykańskiego, o czym na wstępie komentarza, może pozytywnie wpłynąć, również na rokowania wiedeńskie. — Trzynasta runda — piszą niektórzy komentatorzy — wcale nie musi okazać się feralną. Oby tak było.

W. ŚLAWSKI

SUKCESY I PORAZKI

Sroda, 28 września 1977 roku, przyniosła kibicom piłki nożnej wiele emocji i wiele rozczarowań. Rozczarował przede wszystkim wrocławski Śląsk, który właściwie szansę na awans do drugiej tury pucharowych rozgrywek stracił już w Sofii, kiedy przegrał z bułgarską drużyną Lewski Spartak zero do trzech. Był jednak chociaż cież nadziei, że mistrz Polski zmobilizuje się, pokaże dobry futbol i przynajmniej wyrówna, aby w awansie mogły zdecydować rzuty karne. Ale nie z tego nie wyszło.

Rozczarowało też sosnowieckie Zagłębie, które na własnym stadionie potwierdziło tylko wynik z Saloniki: zero do dwóch dla PAOK. A przecież — jak to wszyscy powszechnie stwierdzają — zarówno Lewski Spartak z Sofii, jak i PAOK Saloniki to drużyny do pokonania. Można było z nimi wygrać, gdyby... Właśnie to gdyby.

Opolska Odra przystąpiła do walki z FC Magdeburg bez kompleksów. Ale drużyna z NRD była lepsza. W Magdeburgu opolska Odra zremisowała, zespół walczył ambitnie i mimo ataków piłkarzy z Magdeburga utrzymał wynik remisowy. Ale — chwalebny piłkarz z Odra za ambicje — trzeba obiektywnie stwierdzić, że niestety sama ambicja w pucharowych pojedynkach daleko nie uledzie.

W rezultacie pojedynków ze środę, 28 września 1977 roku tylko dwa zespoły awansowały do drugiej tury pucharowych rozgrywek, oba w pucharze UEFA i to oba losując silnych przeciwników: zabranci Górnik zespół angielski Aston Villa, a RTS Widzew zespół holenderski PSV Eindhoven. Drużyna Widzewa sprawiła kibicom polskim sensacyjną niespodziankę eliminując z Pucharu UEFA angielską drużynę Manchester City, dając tym samym trochę zarazumiałem Anielikom, którzy najpierw nie mogli znaleźć na mapie Łodzi, a później przyjechali tutaj na zwycięstwo. Do zespołu Górnik można jednak mieć pretensje, że trochę zlekceważył fińska drużynę i niepotrzebnie stracił w Zabrzu aż trzy bramki. A i w Finlandii nie było znów tak dobrze, skoro piłkarze Górnik wrócili do Zabrza z remisem, który im wystarczył do awansu.

Sensacja, jaka sprawiła drużyna RTS Widzew nie wydaje się taka wielka, jeśli weźmie się pod uwagę, że drużyna ta zawsze umiała walczyć w momentach decydujących i byłoby dobrze, aby również przypomniała sobie o tym w pojedynkach ligowych. Środowe mecze pucharowe ujawniły całą słabość naszej ligi i myślę, że ta oczywista prawda nie uszła uwadze działaczom i trenerom PZPN. Możemy się cieszyć z postępów naszej reprezentacji, która wprawdzie bierze cież w meczach towarzyskich, ale pnie się stopniowo do poziomu w eliminacji drabiny Mistrzostw Świata. Możemy się cieszyć z sukcesu Górnik i Widzewa, ale to nie zmienia faktu, że poziom gry drużyn ligowych odstaje od poziomu gry wcale nie najsilniejszych drużyn z innych krajów. Już kompletnym paradoksem jest sytuacja kiedy ostatnia drużyna polskiej lidz eliminuje lidera ligi angielskiej. Sądzić tylko na podstawie tego faktu nie powinno być dla nas silnych i wszystkie polskie drużyny powinny być większe go trudni się nie do pucharu, jakie tylko są dostępne w piłkarskim świecie. Ale przecież wemy dobrze, że to nie jest możliwe i niki rozsądny w to nie wierzy. Obu polskim drużynom walczyć o Puchar UEFA będzie jak nalepiej, chciałabym ich widzieć w finale, ale przyznam się szczerze, że nie bardzo w to wierze. Nawet gdy stanie się taki cud, zdwy ambicji i upór niezwykła wszystkie przeszkody, to i tak nie zmieni zdania o poziomie polskiej lidz. Zresztą sność formowania zespołu reprezentacyjnego przez Jacka Gmocha zdaje się potwierdzać, że on też żył wysoko nie ocenia poziomu gry w ligowych meczach.

W tym samym czasie, kiedy przeżywalimy piłkarskie emocje i rozczarowania, w Finlandii nasi siatkarze i siatkarki rozoczelili grę o mistrzostwo Europy w tej dyscyplinie sportu. Sukces siatkarzy w pierwszym meczu z ZSRR przyniósł wysokie uznanie dla następcy Huberta Wagnera — Jerzego Welcza. Ale już przegrana z NRD snowodowała, że kibice zwatpili w umiejętności nowego trenera, wspomniawszy z utęsknieniem dawne czasy. Ale przecież polski zespół przebrał przez wszystkie mecze zwycięsko, noza tym jedynym zwycięstwem, i doszedł do finału. Z jakim medalem wrócił do Polski, trudno przewidzieć, ale wszystko wydawało się wskazywać, że gorzej niż poprzednim razem nie będzie. A poprzednim razem było srebro. Również siatkarki mogą liczyć na sukces. I to namawa optymizmem. Tym bardziej, że jest to wspaniały sukces, a nie sukces wywalczony ambicją i ofiarnością.

BOGDA MADEJ

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

Kończył się hotelowy epizod. Pomoż przypadek w kilka dni później, bo rzecz jasna na zamieszkanie u mecenasowej się nie zdecydowałem. Poszedłem tam z prostej ciekawości, wdepnąłem w coś grząskiego i uciekłem, nie zważając na pozory.

Wczoraj z ulgą wyostałem się na ulicę. Sądze, że właśnie tak, z takimi uczuciami przestępca miesza się z tłumem na ruchliwej arterii miasta, gubiąc trop w miejskim mrowiu. Tak i ja zzbilem się w tunelu tej ulicy, dla odmiany mrocznej i odludnej o tej porze. Na cud zakrawałyby spotkanie tu człowieka. Tylko jeszcze w jednym domu oprócz willi mecenasowej paliło się światło i dochodziły przytłumione odległością odgłosy bawiącego się towarzystwa.

Z trudem dobiełem do hotelu. Zmęczenie, napięcie, alkohol, wszystko teraz kumulowało się we mnie, wprost pienilo i rzucało na kolana. Obudziłem starego Ignaca, który parzył na mnie jak na ducha. Gestem odmówił pomocy, mobilizując się na ten krótki moment, aby przejść przez korytarz prostym, żołnierskim krokiem. Szedłem tak trapiąc się, że teraz wszystko tracę w jego oczach, schodzę z piedestału na ziemię. Szkoda, zawsze dobrze pomyśleć, że ktoś ma o człowieku lepsze zdanie niż on sam.

Wieczorem dopiero zwlokłem się z łóżka i wyszedłem na miasto. Nawet się nie goiliem, laziłem jak mroczny duch po ulicach, oglądałem wystawy, wityny kinowe, studiowałem stare afisze na płotach i murach. Wreszcie utknąłem na dwie godziny w kinie na jakimś filmie.

W dużej sali ciągnącej chłodem nieprzytulności, która przypominała wnętrze stodoły przerobione na remizę strażacką, było zajete kilka ostatnich rzędów. Paru starszych ludzi i młodych chłopców ze swoimi dziewczętami, których chichoty wazwały się mi przez cały czas projekcji. Dopiero po kilkunastu minutach uprzytomniłem sobie, że byłem na tym filmie. Grali to u nas w Łodzi, chyba przed rokiem. Widocznie wpadliśmy do kina z Elizą kryjąc się przed deszczem, bo niewiele zapamiętałem, ale nuda, jaka płynęła z ekranu niewarta była zapamiętania czegośkolwiek. Rozpisuję się jednak o tym filmie, bo to było moje pierwsze pójście do kina. Bronielem się przed nim długo, bo miało to dla mnie jakąś najprostszą wymowę marnowania czasu, zabijania go byle czym, podczas gdy ja przyjechałem tu każdą jego godzinę wykorzystywać. Jednak wreszcie to samopoczucie zapędziło mnie do tej remizy — stodoły, lokalu, którego rodowodu nie mogłem bliżej określić.

Dopiero pod koniec tygodnia, po owej fatalnej sobocie i niedzieli znalazłem mieszkanie. Może bym się jeszcze nie zdecydował, ale przyjazd Elizy nie można było już odłożyć bez wzbudzania w niej podejrzeń. Miałem dość już tych dojazdów, lotów i rozstań, wiecznych pretensji i jałowych przekonywań. Pomogły mi moje grzeszności na co dzień, uśmiechy, ukłony. Czyż inaczej Lidka, sekretarka Wrześnińskiego, zechciałaby mi pomóc? Sama mnie zaczęła, gdy któregoś dnia wychodziłem z narady o Markun. Umówiliśmy się, że pojedziemy tam prosto po pracy. Chciałem zobaczyć to mieszkanie, jakie ono jest, bez uprzednich zabiegów na przyjęcie sublokatora. Po drodze wysłuchałem całej historii rodziny Pogaczewskich. Jak tu przed laty przybył do Kamieńca, jak ciężką pracą i handlowymi kombinacjami dorobili się majątku, po którym pozostali żalonne szczątki, jak ta kamienica, a w niej jedynie protoplaści rodu; młodzi Pogaczewscy rozperzchili się po całej Polsce, a jeden z synów zawędrował do Kanady.

Przyglądałem się im z należytą nieufnością. Lidka usiadła skromnie przy okrągłym stole przykrytym koronkowym obrusem, ja na wytartej, jeszcze przedwojennej koczecie. Staruszka, cała w czerni, stała przed nimi, jej mąż siedział w fotelowym krześle pod majolikowym piecem z secesyjnym gzymsem. Ten piec mnie właściwie najbardziej interesował.

Piękny ornament, precyzja wykonania, niezniszczalność, służba człowiekowi przez dziesięciolecie, całe epoki kamienieckie.

Staruszkowie wypytywali mnie o różne sprawy, ale byli niezłe zorientowani w mojej sytuacji życiowej. Widocznie wcześniej wzięli dokładnie na sprytki swoją młodszą sasiadkę. Wypytywali o Elizę i ku mojemu zdziwieniu nie mieli nic przeciwko jej obecności. Samotny, młody mężczyzna wydawał im się postacią bardzo nieokreśloną. Obejrzelśmy wszystkie pokój, nie targowaliśmy się o cenę. Wydawała mi się więcej niż przyzwoita.

Pokój mógł się podobać, nawet musiał w porównaniu z tymi wszystkimi przelotnymi miejscami, gdzie w życiu mieszkalem. Był dość obszerny, dostatecznie duży nawet dla dwóch osób, z weneckim oknem i balkonem wychylnym w uliczkę ocienioną kasztanami. Przysłaniało to widok i tak niezbyt atrakcyjny, ale obecność zieleni za szybą była pełną rekompensatą. Meble były stare, ze zmatowiałym polskiem, ale jeszcze solidne. Duży tapczan, komoda, staroświecka szafa, wysokie tremo z szufladami i bibelotami.

Umówiliśmy się na jutrzejsze przedpołudnie. Przeprowadzka polegała na tym, że miałem tu przyjąć z walizką i kartonowym pudłem pełnym drobiazów, które kupilem w Kamieńcu. Byłem naprawdę zadowolony i wdzięczny Lidce za pomoc. Nie zwróciłem jeszcze uwagi na to, jak stanowczo za wiele kobiet wtraca się tutaj w moje życie. Jeszcze się tu na dobre nie rozejrzałem, a już wpadłem w ramiona jednej i wszedłem w orbitę zainteresowań drugiej; Lidka jak zarazumiałem przeuczawem, odczytywałem to po swojemu w gestach, aluzjach, żarcikach z chęcią zamilaby się rolą z pierwszą.

— Zapraszam panią na obiedzenie mieszkania — powiedziałem odprawiając ją do sąsiedniej klatki; sam wracałem do hotelu — jutro, zaraz po przeprowadzce. Gdyby nie pani wiadomo jak długo koczołwałbym w hotelu.

— Nie lubię takich żartów, panie inżynierze...
— Żartów!
— Pan mnie chyba nie chce skompromitować. Kobieta w mieszkaniu u samotnego mężczyzny? Tego tylko mi potrzebna! Raz na zawsze stracić dobrą opinię.

— Jeśli się jeszcze ma co stracić, nie jest źle, zaśmiałem się, ale nie podchwyciła tego wpatwionego żartu, kiwnęła mi dość oschle głową; była w tym jakaś pretensja i rozczarowanie i zniknęła za drzwiami na parterze już jakby mojej kamienicy.

Nie lubię, jak mi ktoś z taką miłą zamyką przed nosem drzwi. Ale zostałem chwilę i przyznałem jej rację. Plotkarski czy purytański Kamieniec miewał swoje rygory i trzeba im podporządkować swoje chęci. Tu każdy, najbardziej niewinny gest traktowany był jak zobowiązanie.

Teraz trzeba było zrobić gest następny, poznęgnąć się z hotelowa trójką, nie zęgnając, bo nadal po staremu będziemy się rozmijać po tysiącach zakamarkach budów, korytarzach biur i pakierach na budowach. Tylko nie będziemy spać pod jednym, niezbyt solidnym dachem baraku i tworzyć zgranego kwartetu, w którym przypadał mi rola solisty. Nie ukrywałem przed nimi, że szukam mieszkania, rozumiejąc chyba nawet, że potrzebuję własnego kąta dla siebie. Moja praca nie kończyła się w biurze. Poza tym szykowałem się do przyjazdu Elizy, na razie na dzień — dwa, a za kilka tygodni, na stałe. Wiedzieli, o tym wszyscy, ale pretensji nie ukrywali. Jakby między wierszami czytałem to, co stary Ignac określił tak niewybrednie: inżynier, a z hołotą się zadaje.

Przysli zmordowani pod sam wieczór. Tak było prawie codziennie. Nie po to mieszkali w hotelu, żeby tu baki zbijać. Inni podejmowali nawet dalekie dojazdy do domu, żeby pomóc w gospodarce podejść rodzicielskiego chleba, przespaciać się pod znajomą od dzieciństwa powalą, być na co dzień ze swoimi. Ci, mieszkający w hotelu, pozabawieni zaplecza domowego, zanurzeni w pustkę szarych dni chcieli ten czas wykorzystać na pracę, na zarobek więcej niż przeciętny. Nie pozwalali sobie na luksus nudy i trwonienia czasu. Najwyżej jego marginesy, kiedy ta codzienna harówka dobiegala kresu i — poza nocą — zostawiała te krótkie chwile wytchnienia.

Weszli hałaśliwie gromadką. Zmę-

czeniu, ale weseści, z fasonem, który to zmęczenie czynił jakby mniej ważnym. Wszystko co było potrzebne stało na stole. Butelka, słońk z ogórkami, grubo krajany chleb i dwa pęta kiełbasy. Zdziwili się przez moment, których wykrzyknął blażeński: co się stało, rany Boga, Julek zwariował.

— Czyżbyś już miał dość? — spytał poważnie Tadek — wyjeżdżasz z Kamieńca?
— Tak szybko się mnie nie pozbedziecie — roześmiałem się głośno, ale te słowa ukłuły mnie — wreszcie znalazłem kąta dla siebie. Może znacie, u starych Pogaczewskich, na Różanej?

— No, tak — powiedział tylko do siebie Michał, nie bardzo wiedziałem, co to miało oznaczać, to kilkakrotnie „no tak”, ale naraz Wladek zawałał: zrucamy lachy, gorący przysnie i wbijamy się w garnitury. Nie wypadła tak po prostu siadać do stołu, jak pan inżynier zaprasza.

— Dostaniesz kiedy w ucho, za tego inżyniera — powiedziałem, ale zagłuszył mnie śmiech i harmider. Rozbił się szybko, upychał robocze kombinony w szafkach, kręcili się między pokojem a umywalnią skąd jak zwykle o tej porze, dochodziły pocieszne śpiewy kąpiących się pod prysznicem młodych, zdrowych ludzi.

— Jasne — powiedział po pierwszym kielszku Tadeusz — jesteś poważny żonaty człowiek. Nie będziesz tu siedział jak w ciupie z taką bandą rajzerów jak my. Sciągniesz sobie kobitę, trochę pomieszkanie u starych, przyzwyczai się do Kamieńca, dyrektor da ci mieszkanie. I ani się obejrzyj, jak trzeba będzie zapraszać na chrziny.

— Na chrziny? — zaśmiał się nagle Michał — Tyś Julek nie partyjny, prawda?

— Nie, a dlaczego pytasz?
— To możesz chrzynie wyprawić w samym Kamieńcu. Ci partyjni, a jak jeszcze który na jakim stanowisku wywożą swoje dzieciaka daleko w okolice. Proboszczowi w łare i po sprawie — zaśmiali się teraz wszyscy.

— Dalekie dla mnie zmartwienie — mruknąłem — ja z kościołem i tak nie mam, cała moja rodzina, z wyjątkiem matki...
— To ty partyjni — powiedział któryś.

— Co to ma do rzeczy? Po prostu nie chodzę tam. A co, muszę?
Roześmiali się, nic z tego więcej nie wyniknęło, których klepnął mnie w plecy, podsunął musztardę do kiełbasy. Jak dobry wyczuj nakazuje, podktywali ostre tempo.

Tak szczerze mówiąc wygulpiłem się z tymi dwoma butelkami. Nie umieli pić inaczej. Ow prosły rytuał, skapy w słowa i gesty, zmuszał do tego pośpiechu. Szybkie toasty przerywały chwile sztucznego milczenia, popychały kulawą rozmowę, spojrzania coraz bardziej zamglone stawały się w jednej sekundzie zrozumiale, emanujące ciepłem. Tak, to już w pół drogi porozumienia, które trwać będzie tylko do końca żalonnej biessady. Pociągnęliśmy więc zapalki i Kazik z niepuszną miną wstał od stołu szukając tecku. Chcieli się złożyć, ale stanowczo zaprotestowałem. Tym razem jeszcze mnie postuchali. Po kwadransie na stole zmienił się butelki na pełne.

Zajrzał Ignac. Skrzywił się patrząc na zastawiony stół. Z roboty mnie przez was wyrzucą, mrucał, nie chciał nawet usiąść. Znał widocznie swoją słabą naturę. Wypił szklanę na stojąco, zagryzł kawalkiem kiełbasy i już w lepszym nastroju opuścił pokój. Tylko mi chłopcy brewerli nie róbicie, wypijcie i kładźcie się spać, bo was jutro do roboty nie dobudzę. I jaka z was będzie pociecha w robocie. Co innego pan inżynier za biurkiem przesiedzi, jakoś, ale wy musicie swoje zrobić. No, szkoda, że nas pan opuszcza, ale wiadomo, trzeba być wielkim grzesznikiem, żeby zostać skazanym na takie barakowe życie. Pamiętajcie, żeby mi był spokój.

— Nie marudź, stary — przerwał mu Wladek — zaraz mi się zebranie przypomina, albo niedzielne kazanie.
— Spokojna głowa, panie Ignac — uspokajał go Tadeusz, jak zwykle najbardziej pojednawczy i rozsądny z całej trójki.

Teraz piliśmy już spokojnie, wolniej, dostojniej jakby. Nie spieszyło nam się nigdzie, byliśmy u siebie. Gorąca herbata parzyła wargi i dawała poczucie domowego, przyjacieliego ciepła, całkowitego porozumienia bez

krzyży pozyc i fałszu. Nie znaleźliśmy się długo, a przecież w jakiś sposób przy padliśmy sobie do gustu. Oni, ludzie ciężkiej pracy, i ja, człowiek z tej samej gliny, ale „w białym kołnierzyku”. Sądzę, że zbliżyła nas wspólnota dzieciństwa, fakt, że oni z biednych wsi, ja z robotniczej dzielnicy.

W pewnym momencie któryś ni to spytał, ni powiedział. A na to prawdziwe mieszkanie zaprosisz? Ciekawem bardzo...

— Najpierw niech dostanie — nie pozwolił mi odpowiedzieć Tadek — Wrzos nie jest taki szczerzy, jak kogo nie sprawdzi, to i nie urządzi w ciepłym gniazdku. Zapadło przez moment kłopotliwe milczenie.

— Ech tam, nie przesadzajcie, stary to twardziel jakich mało, ale człowiek nie da skrzywdzić. Kiedyś się postawiłem kierownikowi. On na mnie z mordą, to ja też. Lipy, powiedzialem, nie będę odstawił. Kierownik schowa się za plecy inspektora nadzoru, inspektor zwali na projektanta, a mnie za tyłek wezmą. Ma być cement 350, to nie będą papral innym. Siadłem sobie i zapaliłem. A ten nade mną wrzeszczy, więc mu wiazankę puściłem. A on do kantoru i mi za chwilę naganę przysłał przez kalkulatora. Miałem się tym podać, ale poszedłem do starego.

— No, i ten ci jeszcze dołoży — zaśmiał się Tadek.
— No, żrugam, ale fakt, że ob sobaczyłem kierownika, ale naganę do kosza wyrzucił. Powiedział, że nieważna, on jest od karania ludzi.

— To ci kierownik przy okazji od bił — upierał się Tadek — już trochę w pijackim zaciętrzewieniu.
— A nie, widzieliś, nie zdążył. Stary go przy pierwszej okazji przeczcił na inny powiat. A w zeszłym roku się pogodziliśmy. Po jakimś zebraniu do mnie podszedł i mówił: Tyś chłopie, miał właściwie rację, ale jest takie dno z zaopatrzaniem, że człowiek musi się ośmięszć jako fachowiec.

— Co tam, inżynier, nie przydepli. Nawet Wrzos się nie odważy — zaśmiał się Tadek — pogadaj tak szczerze, przy kielszku z kadrami, ci dopiero bluzgają, ale strach im portkami trzesie. Ale to słusznie, kupę forsy biorą, to niech porządku pilnują, nasze się marnuje... Samego Markuna — zakrzuszył się nagle śmiechem, bo widział na czasie historię sobie przypominał — kiedyś po drodze wyszadli.

Nikt z obecnych nie znał tej Markunowej przgody, więc Tadek opowiedział jak było, zastrzegając się, że to święta prawda, a nie głupia plotka. Skąd wie? To inna sprawa. Po odbiorze, a właściwie niedostym odbiorze piekarni w Rüdnicach, Wrzos wracał samochodem z Markunem do Kamieńca. Naczelny inżynier tłumaczył się przez cały czas, dlaczego powstały usterek i że on w żadnym wypadku nie jest winien. W pewnym momencie stary kazał zatrzymać samochód i wysiadł Markunowi. Kazał mu całą rzecz przemyśleć od nowa, zatrasnął drzwi i odjechał. To było na dwunastym kilometrze przed Kamieńcem. Kierowca nie rozgadał, zaufany człowiek, ale jakoś się między ludźmi rozszło. Co tu może zresztą w Kamieńcu przed ludźmi się ukryć — zakończył nieoczekiwanie uogólnieniem.

I w tym się już trochę orientowałem. Ludzie w tym mieście nie mogli mieć przed sobą tajemnic. Było to okrutne, ale prawdziwe, sprawdzalne na każdym kroku. Więc człowiek chyba może żyć z duszą na wierzchu, z tym nieustannym wyrokowaniem, wzajemną wiedzą o swoich złych i dobrych uczynkach, z opinią, która jest jak wizzylówka przypięta do kłapy marynarki.

Nikt się z opowiadania Tadeka nie roześmiał. Widziałem, że mu się zrobiło głupio, rozgadał się jak baba, mimo wszystko opłotkował człowieka. Chciałem mu jakoś pomóc i odwrócić ich uwagę. Spytałem:
— A sam nie podpadłeś starymu?

— Bo to raz, ale jeden raz strasznie — roześmiałem się z ulgą, chwytając szansę zatarcia poprzedniego wrażenia — kopie kiedyś w kanale, awaria była, to mi kazali wieść. Woda miała zalewać i fakt, nie szło mi. Ryje łopatą jak kret i guzik z tego wychodzi. A tu ktoś staje na skarpie i opieprza mnie. „Nie tak gamoniu, w ten sposób grób sobie przedź wykopiesz”. Pot mi oczy zalewały, więc nie widziałem dobrze, bo bym tak jadaćki nie rozpuścił. „Zle robie, to wlaż tu na dół, sukcinystu, i pokaż jak ma być dobrze”. I patrzę lepiej, a tu stary Wrzos.

Zgodnie ryknęliśmy śmiechem. Tadeusz kończył bez pomagania.

— No, to, myśle sobie, przypadłem. Trzeba się za jakąś robotą rozejrzeć. A jak mnie za trzy dni wezwali do dyrekcji, to już było wszystko jasne. Jeszcze sobie kombinowałem, że może naganą się wykreć, może darować... A tu wyobraźcie sobie, jakiś chłystek w krawacie podbiega do mnie, grabę mi ścisła i zaraz koperte na biurko wyklada. A tam cały tyśiączek premii!!! Takiej rozumnie dyrektorskiej, poza normalną... No, widziś, Julian, co to za człowiek! Niech go jasna cholera! — zakończył z uznaniem — wypijmy za jego zdrowie.

(C.d.n.)



ANGOLA

Neustanny napływ informacji z Czarnego Lądu, który dopiero pod koniec XX wieku zaczął się kształtować, zwolna mapie politycznej, powoduje też rosące zainteresowanie Afryką i sprawami afrykańskich państw i narodów. Trwa walka o wolność Namibii, o przejęcie władzy przez czarną większość w RPA i Rodezji. Toczy się wojna w „Rogu Afryki” czyli między

dzi Somalią a Etiopią, a także w Erytrei. Wrze nieustannie na Białym Wschodzie — w bezpośrednim sąsiedztwie północnej Afryki. To wszystko powoduje, że czytelnik coraz częściej sięga po różnego rodzaju informacje, aby móc lepiej zrozumieć procesy, jakie zachodzą na Czarnym Lądzie. A można mieć pewność, że Afryka przez długie lata będzie bulwersowała światową opinię publiczną.

Wielce pomocną w studiach nad Afryką może być wydanie ostatnio przez MON książka Zygmunta Broniarek „Angola: zrodzona w walce”. Autora przedstawia nie trzeba. Zygmunta Broniarek jest dziennikarzem niezwykle operatywnym, zjawiającym się zwykle tam, gdzie coś się dzieje. Był w Portugalii, gdy dokonała się tam rewolucja i zainteresował się portugalskimi koloniami, skorzystał więc z okazji, aby wpisać — dosłownie — na kilka dni do Angoli, kiedy ta dopiero szykowała się do niepodległości.

Zaczął interesować się tym krajem i jego dalszymi losami. Nie tylko pojechał tam ponownie, ale gromadził wielkie ilości dokumentów i opracował na temat Angoli i z tego powstała książka, którą warto przeczytać. Dziennikarstwo Zygmunta Broniarek reklamować nie trzeba, więc nie muszę zapewniać, że lektura to wyborna, a i wiedzy o Afryce zapas znakowy.

Książka ukazała się w MON-owskiej serii „Ideologia — Polityka — Obronność” i jest 5878 publikacją tego wydawnictwa.

Zygmunt Broniarek — „Angola zrodzona w walce”, MON, Warszawa 1977, str. 316, cena: zł 15,—

DUCH PRZESTWORZY

„Modernizm przyzywał nas do ponuractwa. Przybyszowski spowiadał się Szatanowi z nie popełnionych grzechów (popołnie zwykle przemleczal), duszę Strindberga wysysali kobiece wampiry. Sztuka była dla niego wędrówką do piekieł — lub pielgrzymowaniem do świętego Graala, prawie nigdy gra i zabawa. Opowieści Wilde’a ociepliła dla nas angielskie poczucie humoru. Owa tradycja łącząca sentyment i śmieszność, ale nie pozwalająca na zupełną przewagę żadnego z tych elementów. Jesteśmy nieco poruszonymi — i śmiejemy się niezbyt złośliwie. Przyjmujemy je w tym opowiadaniu jak mistyczny libel, który jeszcze po stu latach potrafi cieszyć swoim niewymuszonym wdziękiem” — tak konczy Jan Prokop swoje powieści do niewielkiej książki, która zawiera dwa opowiadania Oscara Wilde’a, słynnego Lorda Paradoxa, wtywnego „dandy” bulwersującego swoim zachowaniem purytański salon z epoki królowej Wiktorii, autora ponurego „Portretu Doriana Graya”, ale także i bawny „Sześciu księżek” oraz „Słowik i róża”. Tomik opublikowany przez Wydawnictwo Literackie w serii przedstawiającej gotyckie, i nie tylko, powieści grozy, zawiera dwa opowiadania. Pierwsze — „Zbrodnia lorda Artura Saville’a”, noszące podtytuł „Studium obowiązkowości”, to przewrotna historyka o szlachetnym lordzie, na którym ciąży okrutne fatum. Przepowiedziano mu, że popełni morderstwo. Młody lord ma się znieść, nie chce jednak swoją zbrodnią obciążać wybranke serca, wobec tego — jest bowiem bardzo obowiązkowym — popełnia morderstwo przed śladem.

Drugie — „Upiór rodu Canterville’ów” to zabawna opowieść o biednym duchu, któremu nie udało się przestraszyć niemożliwie rozsądnej i trzeźwej rodziny amerykańskiej. Nie pomógł lańcuchy, zgrzytanie zębami, upiorne łacuchy, piszczele i krwawe płyny. Na krwawe plamy najlepszy jest „czyszczyk doskonały” Pinkertona, usztywni Amerykanin podsunął duchowi „smar” wszechmocnego „słońca”, aby przetransmowało swoje sardziejście lańcuchy. A para swych bliźniaków będzie dręczyła ducha na wszelkie możliwe sposoby. Ze straszaniem ducha wzięcie.

Kto więc lubi groch niech sięgnie po opowiadania Oscara Wilde’a. Niechże tylko pamięta, że jest to groza z dużym przybliżeniem oka.

Oscar Wilde „Upiór Canterville’ów”, przełożyła: M. Przymanowska, Wyd. Literackie, Kraków 1977, str. 82, cena zł 10,—

MUSSOLINI

Książka i Wiedza rozpoczęła wydawanie serii książek — kieszonkowej raczej formatu — poświęconej różnym postacim historycznym i to — jak do tej pory — z najnowszej historii. Po monografii poświęconej asowi hitlerowskiego wywiadu, szefowi Abwehry — Wilhelmowi Canarisowi, ukazała się następną poświęcona Benito Mussolinim. Benito Mussolini urodził się w 1883 roku w rodzinie koła i nauczyciela. Alessandro Mussolini — ojciec przyszłego dyktatora i twórcy faszystów — był nie tylko dobrym rzemieślnikiem, ale i politykiem, człowiekiem czytelnym, znającym dobrze dzieje Italii i świata. Związany też był z ruchem socjalistycznym, do którego wkrótce przystąpił Benito.

Marek Borucki — autor książki o Benicie Mussolinim — w sposób pasjonujący przedstawia drogę rozwojową przyszłego dyktatora, charakteryzując nie tylko jego walory intelektualne, ale też i psychiczne. Pożytek z tej książki jest niemały, a przede wszystkim dlatego, że w sposób popularny, a jednocześnie rzetelnie udokumentowany, ukazuje dzieje człowieka, który stworzył faszyzm, pokazuje społeczne mechanizmy, jakie ten ruch zrodził. Dla wielu młodych ludzi nazwisko byłego dyktatora Włoch rodzi określone skojarzenia historyczne, ale nie każdy może dość kołko powiedzieć o nim samemu, o Italii z tamtego okresu, o społecznych uwarunkowaniach faszyzmu we Włoszech. A o tym wszystkim w sposób przystępny i atrakcyjny traktuje książka M. Boruckiego.

Marek Borucki — „Mussolini”, Książka i Wiedza, Warszawa 1977, str. 232, cena: zł 25,—

DRZEWO WIADOMOŚCI

Po wydanej niedawno przez „Czytelnik” obszerniej powieści Henry Jamesa „Portret damy”, znowu możemy, dzięki „Czytelnikowi” zagłębić się w prozie tego wielkiego pisarza amerykańskiego. W serii „Nika” ukazal się wybór jego opowiadań napisanych w latach siedemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Proza Henry Jamesa prawdziwie triumfy zaczęła święcić dopiero po śmierci (1916 r.) pisarza. Dla współczesnych pisarzy i czytelników jego powieści i nowele ze swoją skomplikowaną strukturą językową były zbyt nowatorskie, za trudne w odbiorze. Dla współczesnego czytelnika stylizacja prozy Jamesa nie stanowi już większej przeszkody, natomiast drobniagowa, do granic perfekcji doprowadzona przez autora analiza psychiki człowieka, jest z pewnością największym walorem jego utworów.

James był zafascynowany Europą, jej kulturą, historią, obyczajowością. Było to zafascynowanie wspólne wielu obywatelom amerykańskim. Podróże do Europy były nie tylko modne, dla wielu ludzi wyjazd na stary kontynent był wewnętrzny nakazem. W swoich utworach pisarz nieustannie powraca do tego tematu. Zderza Amerykanów z rzeczywistością europejską, porównuje stare i nowe wartości, śledzi odmienność zachowań, nawyków, motywacji. Fascynacja Europą przeświadczyła się przez kartki „Portretu damy”, tam samą motywy znajdujemy w opowiadaniach „Cztery spotkania”, „Pilk listów” czy „Europa”.

Henry James „Drzewo wiadomości i inne opowiadania”, wybór i przekład: M. Skrocońska, Czytelnik, W-wa 1977, str. 320, cena: zł 25,—

MUZYKA

SZTYGAR

Ciężkimi zarzutami obarczamy zazwyczaj lżejszą, operetkową Muze, i — co tu dużo mówić — zarzuty te, acz istotnie nierzadko bolesne, są na ogół uzasadnione. Ten ciężar jeszcze najpiękniejszy ze światów idzie nieustannie naprzód. Zmieniają się mody, film, telewizja i liczne kabarety literackie dawno już zdążyły dostarczyć nam nowych wzorów rozrywki, stale rosła nasza w stosunku do nich wymagania, a tylko operetka wciąż houduje starym modom i gustom zrodzonym w okresie monarchii austro-węgierskiej, w okresie zwanym co prawda „belle epoque”, ale bardzo już przecie odległym. Raczą nas więc operetkowe sceny dziejami mniej i bardziej skomplikowanych romansów wytwornych hrabiów, z równie wytwornymi księżkami, a czynią to wierząc uparcie, iż owe romanse zaspokoją naszą naturalną potrzebę rozrywki. Upór ten ratuje zazwyczaj dobra muzyka, ale jej niewątpliwie zalety nie równoważą mocno już zwężającą opracowania sceniczne, w jakie ciężko jeszcze przyoblekają inscenizatorzy operetkowych teatrów dzieła Straussa, Lehara, Kalmana, Zellerera i innych klasyków tego gatunku.

Z całą pewnością jednak także i tutaj wszystko jest sprawą umowy. Przyjmujemy więc „operetkową” konwencję, ale jako równoprawni takiej umowy sygnatariusze, mamy prawo żądać tego samego od drugiej strony. Jeśli przyjmujemy proponowaną nam konwencję, jeśli chcemy dać wiarę tym wszystkim perypetiom, gonitwom i przebiegankom, jeśli godzimy się na rzeczy tak już dzisiaj nie do przyjęcia, jak choćby tzw. mówienie „na stronie”, niechże podane nam to wszystko będzie w sposób świadczący o znajomości gatunku i naszymi wymaganiami. Oczekujemy więc staranności inscenizacyjnej, tj.: dobrego poziomu wokalnego i aktorskiego wykonawców, świetnego przygotowania orkiestry, sprawnej reżyserii i dobrej scenografii.

Wiele z naszych operetkowych scen — przybrało już co prawda dumne miano „teatrów muzycznych”, ale niewielkim zmianom uległa kryjaka się za tymi sztykami rzeczywistości, a przeciw zmianie nazwy nie może ograniczać się do jej czysto werbalnej strony, nie może taka pozostać. W mury przybytków młodszej i frywolnej siostry poważnej Melpomeny musi wchodzić ona nowa lub bodaj

nowszą tylko treść. Jeśli zaś z całkiem nowymi treściami ciągle jeszcze są kłopoty — tu wierzyć należy dyrektorom i kierownikom artystycznym słusznie uskarżających się na niedostatek współczesnego repertuaru dla tych scen — warto zatroszczyć się o formę, o której dawno już wiadomo, iż jest nieodłączna od treści, nie jest ona bowiem niczym innym, jak tylko sposobem jej przekazania i osobno rozpatrywać się jej nie da. Forma zaś ciągle jeszcze zbyt dużo pozostawia do życzenia znacznie „obniżając akcje” owych węższych treści.

Do rozważań tych, niezbyt nowych przecie w swej treści, skłoniła mnie ostatnia premiera łódzkiego Teatru Muzycznego, z którego znow wyszła pełna tzw. mieszanym uczuć. Zaprezentowano bowiem na jego scenie mniej znaną operetkę Carla Zellerera pt. „SZTYGAR” i oczywiście nie tytuł ten wzbudził w mnie owe „mieszane uczucia”, ale sceniczny kształt, jaki nadano tej pozycji i poziom wykonania tego spektaklu. Przystąpmy zatem do szczegółów. Carl Zellerer, spod którego pióra wyszło kilka operetek nie przestanie być niestety „autorem jednego dzieła”, którym jest jego „Ptasznik z Tyrolu”, wszystkie inne bowiem są od „Ptasznika” słabsze, a „SZTYGAR” stanowi dokładną kopię poprzedniego dzieła swego twórcy. Adekwatność ta widoczna jest zarówno w muzycznej, jak i dramatycznej konstrukcji utworu. Stanowi on dokładne powtórzenie wykorzystanego już raz pomysłu fabularnego i melodyki „Ptasznika”. Stało się tak zapewne za sprawą niebylewałego powodzenia, jakie „Ptasznik z Tyrolu” odniósł w 1891 roku. Powodzenie to zawdzięcza pewnej innowacji, jaką wprowadził Zeller do obowiązującego dotychczas schematu. Po raz pierwszy znalazły się w tych utworach postaci z kręgoszerszych niż zamknięty świat arystokracji. Wprowadził też Zeller na operetkową scenę w „Ptaszniku z Tyrolu” elementy folklorystyczne, a w „SZTYGARZE” pewne, łagodne zresztą zarysowane akcenty społeczne. Nie zrezygnował jednak z księżką i hrabiów łącząc losy swoich bohaterów po to tylko, by pozostawić ich w swych światłach w przekonaniu o niezmienności panujących w nich układów. Nie ma więc mowy o żadnych megaliansach, happy-endy mają już na wstępie przewidywaną miarę, świat toczy się dalej, ope-

retka wystawia „SZTYGARA”...

Fakt, iż utwór ten w każdym swoim fragmencie wykazuje ogromną zbieżność z „Ptasznikiem” — nie jest sam w sobie rzeczą naganną. Dlaczego więc mają do wyboru dwie rzeczy, z których pierwsza stanowi jasny i oryginalny dowód talentu autora, a druga jest tylko powtórzeniem, nie należało sięgnąć po tę pierwszą, choćby po to, by przypomnieć ją tym, którym jest znana i po raz pierwszy zaprezentować nowym widzom. Takie działania wydaje mi się bardziej uzasadnione i w większym stopniu oplacalne artystycznie.

„SZTYGARA” w łódzkiej Teatrze Muzycznym wyreżyserowała pierwsza dama polskiej operetki, Beata Artemiska. Zadanie postawione przed nią wykonała dość rzetelnie, ale — niestety — bez szczególnej inwencji. Beacie Artemskiej nie udało się znaleźć klucza, którym mogłaby przełamać stary schemat pozabawiając swą inscenizację jego sztympy. Właśnie bowiem że sceny dość intensywne, w jej sztywnych ramach pozostało sporo rozwijanej sytuacji. Zbyt wolne tempo i zbyt ten spektakl tempo i dla jego przyspieszenia, które przydałoby przedstawieniu koniecznej wartości i atrakcyjności warto było użyć skracającego nieco tekst ołówka. O ogólnej koncepcji inscenizacyjnej z przykrością odmówić muszę dowcip wyższego lotu. Ten zaś który zaprezentowano widzom o takie miano ubiegać się nie może. Po wyższe laury nie mogą też sięgać autorzy polskiego libretta. Dyskwalifikują ich bowiem dowcipy takie, jak choćby ten, który pozwolił sobie przytoczyć:

Zwacek (dyrektor kopalni) — Mój pociąg odjeżdża o ósmej. Książę Rudolf (mówi na stronie) — Pański pociąg do żony odjechał już dawno.

Dowcip ten do prostu trywialny i aczkolwiek wzbudza wesołość pewnej części widowni, to przecie nie o taką wesołość chodzi. Nieustannie i godnego lepszej sprawy uporu w przywiązaniu do starych form dowodzi także aktorstwo prezentowane przez kilku solistów z dużego grona wykonawców. Szeroki gest, równie szeroki uśmiech i jeden tylko grymas smutku na obliczu doprawdy nie wyczerpują nader obfitego zasobu środków wyrazu aktorskiego. Wiedzą o tym i umiejętnie z tego zasobu korzystają Elżbieta Ptak-Araskiewicz (pełna wdzięku hrabianka von Fichtenau), Krystyna Przybylska-Potemska (Elza, żona dyrektora Zwacka) i Zbigniew Waloch (kreujący rolę sztygara Marcina). Tego samego nie da się niestety po-

wiedzieć o Małgorzacie Wilk (Nelly), Januszu Duńskim (dyr. Zwacek) i Edwardzie Kamińskim (Rudolf). Porównanie wywiali się ze swych zadań: Jan Herma (oberzysta Strobel), Władysław Kwiatkowski i Jan Padkowski (urzednicy Rumpel i Szwindel), Anna Gębleka (Kati) i pozostali wykonawcy przedstawienia. Na marginesie, wszystkim jednak chciałabym też przypomnieć o dawno już i z korzyścią dla zainteresowanych, funkcjonującej nowej szkole charakterystyki scenicznej.

Na ogół bez zarzutu pozostaje wokalna strona SZTYGARA. Ciekawymi głosami umijętnie operowali niemal wszyscy wykonawcy. Na słowa szczególnego uznania zasługuje Elżbieta Ptak-Araskiewicz dysponująca głosem o interesującej barwie i ciepłym brzmieniu. Jasnymi momentami spektaklu był świetnie wykonany w drugim akcie duet hrabianki i księcia oraz brawurowo zaśpiewana przez Zbigniewa Walocha opowieść „O młynarce”. Nie tak świetnie niestety brzmiała orkiestra prowadzona w dniu premiery prasowej przez Tadeusza Błaszczyka. Słabszą stroną był także balet. Ładnie natomiast, czysto i dykcyjnie brzmiał tym razem chór.

Scenografię korespondującą z reżyserką koncepcją przedstawienia przygotował Jerzy Kondracki. Jego dzieło, niejednolite w swej stylistyce i przez to w całości chyba jej pozbawione, nie wykroczyło niestety ponad operetkową precyzyjność. A szkoda! Plusem plastycznej strony spektaklu były natomiast kostiumy, co z przyjemnością przyznają ich twórcy.

Czując się zobowiązaną do podsumowania spostrzeżeń i wniosków nie odmawiam łódzkiemu SZTYGAROWI prawa do scenicznego bytu. Ma on swoje zalety, wady (te mniejsze oczywiście) wydają się być możliwe do poprawienia, melodyjne arie i duety z partycy Zellerera zyskały poprawną konkretyzację wokalną i długo jeszcze brzmieć będą w uszach słuchaczy.

EWA PANKIEWICZ

Carl Zeller SZTYGAR, libretto: JERZY KONDRACKI i MIROSLAW LEBKOWSKI (wr. M. Westa i L. Helda). Reżyseria: BEATA ARTEMISKA, choreografia: ZBIGNIEW STRZALKOWSKI, scenografia: JERZY KONDRACKI, przygotowanie muzyczne: TADEUSZ BŁASZCZYK, kierownictwo chóru: ROMAN PANIUTA, Teatr Muzyczny, premiera prasowa 15 września 1977 r.

FILM

TWARZĄ W TWARZ

Nie zdziwię się, jeśli nawet najgorętsi wielbielcy twórczości Ingmara Bergmana, tym razem nie będą w swych ocenach jednomyślni. Wielu bowiem film „Twarzą w twarz” może się wydać warty choćby tylko wobec takich jego dzieł, jak „Goście Wieczery Pańskiej”, „Jak w zwierciadle” czy „Persona”, w których to filmach Bergman poddaje wnikliwej analizie problem „alienacji” oraz chorób czy tylko zahamowań psychicznych. Pojęcie wtrótności jest jednak w twórczości Bergmana zagadnieniem wielce złożonym — jej stałe motywy można bowiem dość łatwo wycisnąć z kilku zaledwie punktów i każdy kolejny film skandynawskiego mistrza traktować jako kolejny warianc tematyczny. A mimo to przyjmujemy te filmy z niesłabnącym zainteresowaniem i pokorą wobec głębi refleksji i oświeconej naiwności, przyjmujemy je z urzędem i z uwagami artystycznej wypowiedzi, w której dominującą funkcję pełni u Bergmana zawsze aktor, ten niezwykły w jego rękach instrument. Potrąfł z niego wydobyć tony o tak wielkiej sile przekonywania, iż za każdym razem od nowa kaze nam z równą intensywnością przeżywać dramaty ludzkie, których dana postać jest uosobieniem.

W przypadku filmu „Twarzą w twarz” nawet ci, którzy tym razem zwątpią, poddadzą się

zapewne kolejnej aktorskiej magii. Liv Ullman zagrała rolę doktor Jenny Isaksson powyżej tego, co zwykłymi uważać za szczyt możliwości aktora — nawet w filmie Bergmana. Nie ma w tym filmie chyba ani jednego ujęcia, w którym Liv Ullman byłaby nieobecna, a jest w tym filmie jedno wielkie, kilkunastominutowe ujęcie, na które składa się dramatyczna spowiedź chorej Jenny, ujęcie — scena, przy której każdy chyba widział stnie w obliczu nieprzeniknionej tajemnicy współistnienia reżyserkiej intencji i aktorskiej interpretacji, wobec której słowo „gra” jest już nieadekwatne. Liv Ullman jest chora Jenny, tworzy zdumiewający obraz psychologicznego załamania kobiety, której zdawało się, że jest mocna.

Jenny Isaksson jest cenionym i kochającym swój zawód lekarzem psychiatrą. Ma dom i rodzinę, czuje się jeśli nie szczęśliwa, to zadowolona z życia. Nic nie wskazuje na to, że ona właśnie ma ulec depresji. Pierwsze jej symptomy pojawiają się w czasie bezsennej nocy — Jenny ulega halucynacjom będącym odbiciem złociejczych przeżyć. Ta noc uzmysławia Jenny powierczność dotychczasowych doznań i uczuć, poprzez które realizowała się dotąd jako lekarz, żona, matka i wnuczka. Wykonując swe dotychczasowe czynności, kontaktując

się z ludźmi Jenny utwierdza się w przekonaniu o bezsensowności tego wszystkiego. Jenny jest jednak lekarzem, rozpoznaje zatem także symptomy swej choroby i stara się z nią walczyć do czasu, gdy kryzys obezwładni ją ostatecznie. Jenny powróciła jednak do zewnętrznej przynajmniej, normalności. To sugeruje finał filmu, co narzuca też inną nieco interpretację niżeli ta, która towarzyszy nam w czasie obserwacji narastającej choroby bohaterki.

I tu, sądzę, jest miejsce dla tych, których ten film Bergmana nieco zawodzi. Wydaje się bowiem, że Bergman w toku całego filmu poddaje analizie przypadek kliniczny. Wskazuje na to wszystko, co dzieje się z Jenny — jej reakcje fizyczne, zachowanie, jej słowa i obrazowe konkretyzacje prześladowczych jej halucynacji. Idąc tropem psychoanalizy, w dzieciństwie Jenny szuka Bergman źródła choroby, która wywołowała się w sposób dość nieoczekiwany na którymś tam, nie zapowiadającym nieszczęścia, skrzyżowaniu życiowych dróg. Wszystko to w filmie bardzo przekonująco, choć wyznam, że owe „halucynacje” nie są w tym odczuciu najmniejszą stroną artystycznej wyobraźni znakomitego reżysera, że jest on natomiast mistrzem samej realności obrazów choroby Jenny, mistrzem tworzenia zachowań, reakcji oraz wypowiedzi słów.

Finał filmu nie jest jednoznaczny — jeśli powrót Jenny

do „normalności” jest tylko chwilą — to zgoda na cały zespół środków wyrazowych i przeprowadzonej argumentacji. Jeśli zaś cały filmowy obraz jej c'robry miałby być tylko obrazem chwilowego kryzysu, z którego Jenny wychodzi, przy dużej pomocy przyjaciela Tomasa, silna i przez wybór pogodziona ze światem — to zespół wspomnianych środków i argumentów odczuwamy za nieco przesadne. Sam film zaś traktując za ten moment twórczości Bergmana, w którym chyba po raz pierwszy uległ fascynacji możliwościami inscenizacyjnymi, jakże dał mu sam temat, w którym po raz pierwszy też problem przedstawiony jest nie z pozycji świadka i obserwatora, lecz poprzez usiłowanie identyfikacji z przeżyciem chorego.

Mimo tych zastrzeżeń i ów drugi wariant interpretacyjny znajduje w filmie Bergmana dość dowodów. Ukazują one drogę człowieka, który, szukając prawdy, zwątpił, lecz odnalazł siebie na powrót w codziennym, najprostszym byciu. Możliwe, że film „Twarzą w twarz” służy właśnie ukazaniu tego, co pozornie absurdalne i irracjonalne — owemu niewytłumaczalnemu przechodzeniu ze stanu spokoju w strach czy nawet obojętności — odwrotnie. O stanach tych mówi dziś świat w kategoriach egzystencjalnych, ale mówi też jako o reakcji jednostki na przylatującą ją współczesna cywilizacja.

EWA NURCZŃSKA

